Cena 5 zł.

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok II | Kraków, dnia 25 listopada 1945 r. | Nr 52

TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

MICKIEWICZ

Ilekroć przyjdzie się zastanowić nad drogą poetycką Adama Mickiewicza, zawsze budzi ona nowe zdumienie. Trwała ta droga krótko; jeżeli liczyć od wydania pierwszego tomu poezji, nie więcej niż dwanaście lat; urwała się na szczycie potęgi twórczej; poezja Mickiewicza nie zna schyłku. Obejmuje wszystkie rodzaje, jakby jakieś przeznaczenie kazało temu wielkiemu odnowicielowi przeorać do głębi wszystkie niwy mowy ojczystej. Po pierwszych klasycyzujących próbach sięga nagle młody Mickiewicz do źródła natchnień ludowych w „Balladach i romansach"; w wileńskich „Dziadach" z misterium gminnych guseł wysnuwa poemat miłości i bólu; w „Farysie" odkrywa strefy jakiejś narkotycznej „czystej poezji". I znów, pod wpływem tragicznego wstrząsu powraca do „Dziadów"; natchnioną „Improwizację" Konrada oprawia w sceny poetyckiego realizmu, barwiące się raz po raz sarkazmem pamfletu. I tuż po tym wybuchu bluźnierczej potęgi, jakim jest „Improwizacja", naraz, jakby czarami, uspokaja się to zwichrzone morze, aby się rozzwierciedlić gładką, spokojną falą w „Panu Tadeuszu".

I jakie wciąż bogactwo form, rytmów, nastrojów: od prostoty gadek ludowych, — do nieskazitelnej zwartości sonetu lub kunsztownego heksametru; i wreszcie do tej symfonii barw i tonów, jaką jest „Pan Tadeusz", ten cud plastycznej pamięci zrodzonej z tęsknoty.

I w tej poezji Mickiewicza, mimo całej doskonałości artystycznego rzemiosła i świadomej uprawy formy, jest taka bezpośredniość, taka konieczność, że w pewnej chwili, gdy twórca uczuje inne nakazy, inne konieczności, odejdzie nagle od poezji, czy raczej poezja odejdzie od niego, zostawiając udręczonego człowieka-tułacza, szukającego w życiu rozwiązań i realizacyj, które wprzód dawała mu sztuka.

A wśród tego, w latach twórczego odpływu, poezja nawiedzi jeszcze Mickiewicza na chwilę: w czasie pobytu jego w Lozannie w Szwajcarii; tu, jakby oderwany na moment od wszystkiego co było treścią i męką jego życia, w obliczu przyrody, poeta zatrzyma się i jakby przystanie w swojej wędrówce, aby się zdziwić własnej doli. Jeden z tych małych poematów ma tylko pięć wierszy: to owe „Polały się łzy me...", drugi, to znów klejnot „czystej poezji", zaczynający się od słów: „Nad wodą wielką i czystą..."

To ta poezja, która pulsowała w jego krwi, która wzdymała jego serce miłością, dumą, buntem, szałem, która barwiła tęczowo jego wizje przyszłości, ta poezja nawiedza tu Mickiewicza po raz ostatni w postaci jakiejś bezcielesnej zadumy. I już nie wróci; człowiek pójdzie dalej sam.

Kończąc „Pana Tadeusza", ostatni swój utwór poetycki, Mickiewicz miał 35 lat; droga jego życia miała trwać jeszcze lat 21. Zrozumiałe jest, że nas to życie, które można by nazwać twórczością niepisaną Mickiewicza, obchodzi na równi niemal z jego twórczością pisaną, którą poniekąd przedłuża i uzupełnia.

Ale podczas gdy tam gdzie idzie o poezję, zawsze się można odwołać do samego twórcy, o tyle życie jego, działanie, bywają zdane na jakieś narzucone im interpretacje. Stąd tyle rozbieżności w pojmowaniu osoby Mickiewicza.

Od chwili gdy Mickiewicz opuścił w roku 1824 więzienie wileńskie, losem jego miało być tułactwo. „Pielgrzym" — to słowo powraca — niby przeczucie — w jego poezji od wczesnych lat. Druga część jego życia związana jest z Francją, pierwsza z imperium rosyjskim.

Te dwa okresy jakże są odmienne. Oto właśnie Akademia Nauk otwarła we Lwowie w dawnym Ossolineum bogatą wystawę mickiewiczowską. Widzimy tam wiele portretów tej pięknej głowy; portrety te mają wymowę. Uderza nas kontrast dwóch epok. Jedną uzmysławia wspaniały młodzieniec z dynastii wielkich romantyków, odziany w fałdzisty płaszcz wędrowca. Taki jest Mickiewicz jeszcze w Rzymie w roku 1830. Kiedy w parę lat później odnajdziemy go w Paryżu, jakże będzie odmieniony! Strój, postawa, niemal głos. Dumny śpiewak „Farysa", a twórca „Ksiąg pielgrzymstwa", przemawiający głosem kaznodziei, czy to ten sam człowiek? Wyraz twarzy nad wiek poważny, surowy, smutny, jakby go gniotło ciężkie jakieś brzemię; rysy przeorane wewnętrznym bólem. A strój! To przemiana niemal podobna do tej, która przeobraziła bujnego Jacka Soplicę w księdza Robaka, resztę życia jego skazując na ekspiację.

ADAM MICKIEWICZ
według litografii Kurowskiego z 1834 r.

Bo też w istocie w ciągu tych dwóch lat rozegrał się dramat. Dramat narodu i dramat człowieka, poety. Tragedia, wobec której jakże dziecinnieją owe romansowe przejścia Mickiewicza upoetyzowane w „Dziadach". I nawet ów proces wileński, więzienie, w którym Mickiewicz — jak sam pisze — „odzyskał wesołość".

I to jest zrozumiałe. Tuż przed momentem, kiedy wytoczono proces młodym Filomatom wileńskim, Mickiewicz znalazł się duchowo niby w zaułku bez wyjścia. Romantyczna miłość młodzieńcza dała mu wszystko, co dać mogła — w poezji. Z niej wzięły natchnienie pierwsze utwory, ją udramatyzował poeta w „Dziadach". Ale w życiu? Ani tym żyć, ani od tego uciec: Kowno było za blisko i za daleko od majątku państwa Puttkamerów, a uwielbiana Maryla była już od dwóch lat hrabiną Puttkamerową. A wreszcie rola nauczyciela w małej wówczas mieścinie nie mogła dać zadowolenia poecie, który wysokością lotu mierzył się już z Goethem i z Byronem. Młody Mickiewicz dusi się tu. Brzydnie sam sobie, brzydną mu przyjaciele, dawni towarzysze. Pełno tego śladów w jego listach. Proces, więzienie, wyrwały Mickiewicza z tego martwego punktu; przeczuwa, że odwraca się w jego życiu nowa karta.

I dopiero refleks klęski powstania roku 1831 rzuci w trzeciej części „Dziadów" swoje posępne tony na to więzienie z roku 1824. Poezja miewa takie genialne anachronizmy.

Na razie — zesłanie do Rosji. Żandarm wozi Mickiewicza z miejsca na miejsce po obszarach imperium, jakby je chciał sprezentować przyszłemu autorowi „Drogi do Rosji". Z Wilna do Petersburga, stamtąd do Odessy. Wycieczka na Krym wydaje jako plon wspaniałe „Sonety krymskie". Moskwa i Petersburg dają Mickiewiczowi przyjaźń Puszkina i przyjaźń najszlachetniejszej rewolucyjnej młodzieży rosyjskiej. Tu Mickiewicz zyskuje poczucie swojej siły, samowiedzę geniuszu. W Wilnie koledzy cenzurowali mu wiersze, z Warszawy dochodziły młodego romantyka echa drwin i krytyk; tu, w wysoce podówczas artystycznej atmosferze, najtęższi pisarze przyjmują go jak brata, witają jak mistrza. O caracie myślał Mickiewicz pisząc „Wallenroda", ale o tych rosyjskich czasach myślał, pisząc jeden z najpiękniejszych wierszy „Do przyjaciół Moskali".

Jakże smutno w porównaniu z tą epoką rozpoczną się lata paryskie Mickiewicza. Gnębi go i atmosfera emigracji, i osobisty dramat wewnętrzny, związany z minionym rokiem. A sam Paryż? Ogromne miasto, zajęte swoimi sprawami i interesami, obce myślom i uczuciom tego pielgrzyma. Rośnie w poecie poczucie własnej samotności. Dla kogo pisać? Obcy nie znają jego języka; swoi daleko, i również często obcy...

Przy tym natura Mickiewicza, mimo iż w pewnych okresach narzucająca sobie pokorę, w istocie namiętna, władcza, łaknęła bezpośredniego działania i wpływu. „Daj mi rząd dusz!" woła do Boga w „Improwizacji" Konrad.

Mickiewicz zaczyna pragnąć czynu. Słowo mu nie wystarcza. Ta gorączka działania owłada w owej epoce wielu poetów; to moment ich królowania. Byron formował nie tak dawno własne oddziały, aby walczyć o niepodległość Grecji; gdyby nie umarł, byłby może został królem greckim. Chateaubriand był ambasadorem, ministrem spraw zagranicznych; później Lamartine, najświetniejszy mówca parlamentu, miał w danej chwili zostać głową rządu. Ale wszyscy ci poeci mieli jakieś dźwignie, jakieś punkty oparcia; Mickiewicz-Konrad, tułacz bez ojczyzny, w pokoju drezdeńskiego hoteliku, gdzie powstała „Improwizacja", upomina się o „rząd dusz". Nigdy dumniejszy, zuchwalszy manifest nie wyszedł z ust poety.

Ale moment nie sprzyja tej gorączce czynu. Lata między rokiem 1834 a 1848 to najciemniejszy moment ustabilizowanej reakcji w całej Europie; we Francji to owe „rządy pięciofrankówki", — jak je nazwał pogardliwie Balzac, — raj dla francuskich groszorobów, trumna dla nadziei Polaków, w których mieszczaństwo francuskie widziało niewczesnych mącicieli porządku na najlepszym z burżuazyjnych światów.

Co robi w tych latach Mickiewicz? To, co może. Troska się o to, jak wyżywić rodzinę. Gdy Paryż naokoło myśli, jak się wzbogacić, wielkiemu poecie zagląda w oczy pytanie, jak wyżyć w obcym mieście — z pióra. Szuka pracy zarobkowej, próbuje pisać po francusku.

Ale równocześnie zbliża się Mickiewicz ze wszystkim, co było we Francji postępowe, demokratyczne. Zbliża się z kołami saint-simonistów, m. in. z „socjalistą utopijnym" Piotrem Leroux; sam współpracuje w bliskim socjalizmowi „Pielgrzymie Polskim" — jeszcze wówczas, gdy równocześnie tworzył „Pana Tadeusza". Sprzeczność — tylko pozorna. Bo „Pan Tadeusz" — ta „historia szlachecka", jak mówi podtytuł, — to, jak go określił Worcell, „kamień grobowy, położony ręką geniuszu na starej Polsce naszej". A równocześnie oczy poety widzą już świat inny, nowy.

Uderzające jest, jak myśl Mickiewicza już w owej epoce płynie podwójnym nurtem — narodowym i międzynarodowym. Coraz bardziej umacnia się w Mickiewiczu świadomość, że sprawa wolności narodu, jego prawa do życia, to nie jakieś odosobnione zagadnienie, ani rozgrywka lokalna, ale że, przeciwnie, dola wszystkich ludów jest ściśle solidarna i że nie podobna jest ruszyć jej z miejsca nie podważywszy całego porządku społecznego starej Europy, zbudowanej na przemocy i krzywdzie. I oto jak sprawa polska zawiedzie Mickiewicza do międzynarodowego socjalizmu i każe mu szukać zbliżenia z tymi, którzy w Europie reprezentują ideę socjalnego przewrotu. Ale — trzeba czekać chwili; a to czekanie, wlokące się przez całe lata, straszne jest dla tych namiętnych, płomiennych natur, do jakich należał Mickiewicz. I tym zmęczeniem, tym przepaleniem się wewnętrznym, kontrastem między bezwładem otaczającego społeczeństwa a gorączkową żądzą ruszenia „z posad bryły świata" — i „pchnięcia jej nowymi tory", jak głosiła już „Oda do młodości", — można sobie wytłumaczyć wpływ, jaki czasowo uzyskał na Mickiewicza prorok mętnej mistycznej sekty — Andrzej Towiański.

Ten wpływ, pod każdym względem opłakany, przypadł na chwilę, w której poecie otworzyło się właśnie nowe pole działania. Po krótkim okresie, przez który Mickiewicz zajmował katedrę literatury łacińskiej w uniwersytecie lozańskim w Szwajcarii, ofiarowano mu w Paryżu ważniejszą placówkę: katedrę literatur słowiańskich w „Collège de France" w Paryżu. Pierwszy zwłaszcza rok tych wykładów był olśniewający; później coraz bardziej ten kurs literatury wyradza się w propagandę mistycyzmu Towiańskiego; wreszcie — Mickiewicz zmuszony jest ustąpić z katedry.

Tu parę lat dziwacznych, zasmucających — lat niewoli u „mistrza". Ale wystarczyło tego drżenia ziemi, jakie się dało uczuć z rokiem 1848 — w momencie owej pamiętnej „wiosny ludów", aby Mickiewicz zrzucił z siebie jarzmo, w którym trzymała go jedynie rozpacz bezczynu i beznadziei. Teraz Mickiewicz pali się jak płomień; Krasiński, który go w owym momencie widział w Rzymie, przerażony jest nim po prostu: w listach swoich, komicznie wystraszony, porównuje go do Dżingis-chana i do Pankracego z „Nieboskiej komedii". Mickiewicz, wciąż wierny swoim pojęciom o solidarności sprawy ludów, tworzy legion polski, który pod polskim sztandarem ma walczyć przeciw Austrii za wolność Włoch. Pragnąc wyzyskać wszelkie szanse agitacji, Mickiewicz stara się o pobłogosławienie sztandaru przez papieża; ale kiedy w czasie audiencji natrafia na trudności i obija się o gładką dyplomację Watykanu, w uniesieniu potrząsa gwałtownie papieża za rękę, krzycząc: „Wiedz, że duch boży jest dziś w bluzach paryskiego ludu"!

I po nowych rozczarowaniach roku 1848 Mickiewicz już nie wraca do dawnego jarzma. Zakłada w Paryżu w roku 1849 wielki francuski dziennik — pod znamiennym tytułem „Trybuna Ludów". Przeobraża się w publicystę, daje codziennie artykuł, czasem dwa artykuły dziennie. Dowcip, sarkazm, grom oburzenia, — to znów trzeźwe logiczne rozumowanie — język treściwy i giętki — wszystko to znajduje do rozporządzenia poeta-publicysta.

Jeszcze w roku 1848 Mickiewicz nazwał w liście do Mazziniego swój legion włoski „armią republikańską i socjalistyczną". „Skład zasad", program polskiego legionu we Włoszech, napisany przez Mickiewicza, uderza swoim radykalizmem. Obecnie w „Trybunie Ludów" Mickiewicz jawnie opowiada się przy czerwonym sztandarze.

Mickiewicz-socjalista, to dla wielu Polaków, starszego zwłaszcza pokolenia, brzmi jakże paradoksalnie. Tak innego Mickiewicza pokazywano im za młodu. Radykał — czerwony — to był Słowacki, a Mickiewicz to miała być owa Polska tradycyjna, kontuszowa, szkaplerzykowa. Ileż trzeba było z Mickiewicza ukryć, ile przeinaczyć, aby go wtłoczyć w to pojęcie. Ale nawet nie wymagało to zbyt wiele trudu. Jakże mały odsetek spośród dawniejszych czytelników „Pana Tadeusza" mógł znać artykuły Mickiewicza z „Trybuny Ludów", dopiero po wielu, wielu latach zebrane i wydane po francusku, a jeszcze o wiele później w polskim przekładzie. Każdy od dziecka umiał na pamięć jak Podkomorzy poloneza wodzi, a mało kto miał możność obcowania z myślą socjalną Mickiewicza, wyrażoną w najbardziej bezpośredniej formie. I znowuż w listach Krasińskiego znajdziemy wierne odbicie wrażeń, jakie ta działalność Mickiewicza wywierała na pewnym typie ówczesnej polskiej umysłowości: z uśmiechem dziś czytamy ów znany ustęp z listu Krasińskiego do Augusta Cieszkowskiego o „zbrod-

niach druku, równych zbrodniom ojcobójstwa, zdrady ojczyzny", — ustęp kończący się słowami: „Dopierom się przekonał, jak głęboko upadł Mickiewicz".

I mimo woli sięgamy po zbiór artykułów poety z „Trybuny Ludów", aby sprawdzić, która to z jego wypowiedzi mogła przyprawić o taką zgrozę hrabiego Zygmunta. Może to ów cykl artykułów pt. „Socjalizm", gdzie m. in. Mickiewicz pisze:

„Socjalizm nowoczesny jest tylko wyrazem poczucia tak starego, jak poczucie życia, wyrazem odczucia tego, co w naszym życiu jest niezupełne, odcięte, nienormalne, a wskutek tego nieszczęśliwe. To poczucie objawiło się z siłą zupełnie nową, przyznajemy; jest to nowy zmysł... nowa namiętność. Dawniejszymi czasy roznamiętniano się miłością ku miastom rodzinnym, ku państwom czysto politycznym; te namiętności, bez wątpienia wielkie w porównaniu z namiętnościami ludożercy, który się roznamiętnia jedynie do uczty z ciała swego wroga... te namiętności można obecnie usprawiedliwić, jak zamiłowanie dzieci do cacek i cukierków, albo zamiłowanie posłów do posad i pensji; zamiłowania... namiętności... prawowite w przeszłości, które jednak nie zdołają skusić ludzi spragnionych socjalizmu". ...Socjalizm, jako całkiem nowy, ma nowe pragnienia i nowe namiętności, których pojąć nie mogą ludzie starego społeczeństwa, podobnie jak pragnień młodzieńca nie pojmie dziecięctwo ani zdziecinniała starość"...

Tak pisał Mickiewicz w „Trybunie Ludów" Ale żywot „Trybuny Ludów" miał być krótki. Jeszcze w tym samym roku 1849 rząd nowej republiki najpierw odsuwa od redakcji Mickiewicza, a potem zamyka pismo.

I następuje znowu kilka lat, w ciągu których horyzont ostatecznie się zaciemnia.

Kiedy wybucha wojna krymska, zrywa się jeszcze raz Mickiewicz-rewolucjonista, agitator, emisariusz, — ale to już nie to samo co rok 48. I czasy są inne, i Konstantynopol to nie Rzym. Już zbliża się zresztą koniec jego pielgrzymstwa. Umiera w pełni działania, w roku 1855, 26 listopada.

„Polały się łzy me... na mój wiek męski, wiek klęski", mówi Mickiewicz w swoim wierszu napisanym w Lozannie. W istocie, tych ostatnich dwadzieścia lat życia, to nie jedna klęska, ale szereg klęsk, pasmo zawodów i rozczarowań. W zamian za to, tryumfalne życie czekało poetę po śmierci. Ale i w tym pośmiertnym tryumfie ileż bywało bolesnej ironii! Jakże trzeba było nieraz okaleczyć tę namiętną myśl, przeinaczyć to burzliwe życie, aby je nagiąć do banalnych kultów składanych pod pomnikiem z brązu. Jakże często imię i słowo Mickiewicza służyło za sztandar hasłom i obozom, które byłyby mu obce lub wręcz nienawistne. Jak często wstecznictwo i sobkostwo odbywało swoje zbory pod wezwaniem Mickiewicza, którego myśl była ich zaprzeczeniem. Jakże często czyniono symbol tradycji — i to jak wątpliwych tradycji! — z tego, który był wiecznym rewolucjonistą — najpierw w poezji, a potem w życiu.

Tadeusz Boy-Żeleński

(„Nowe Widnokręgi", nr 1, Lwów, styczeń 1941 r.).

JULIAN PRZYBOŚ

„Historia szlachecka" czyli baśń

Przeczytałem „Pana Tadeusza" niezliczoną ilość razy, czytywałem go ciągle, w ciągu kilkunastu lat mojego nauczycielstwa nie było prawie dnia, w którym bym się nie pochylał nad mickiewiczowską epopeją. Ale dwa razy tylko w życiu przeczytałem ją tak, jak się chłonie książkę nową, nieznaną, o której nie trzeba przedtem wiedzieć, że to arcydzieło, jak książkę, której nam nie wmówiono.

Pod strzechę mojej chałupy rodzinnej nie zbłądziły te księgi, po raz pierwszy zetknąłem się z „Panem Tadeuszem" późno, dopiero w czwartej klasie dawnego gimnazjum klasycznego. Przerabiało się w niej w ciągu całego roku szkolnego „Pana Tadeusza" i bodajże „Zemstę". Nie czekałem na lekturę od urywka do urywka, od księgi do księgi, poezja mnie pociągała, przeczytałem od razu wszystkie księgi ukradkiem w ciągu dwóch nocy.

Wrażenie było silne — jak określić to wrażenie? Był to zachwyt, ale inny niż ten, w jaki mnie wprawiały najpiękniejsze książki dzieciństwa, nie bezpośredni, ale wtórny, wynikły z porównania; nie był to też wstrząs uczuciowy, nie płakałem przy śmierci Jacka, choć rozumiałem jego dramat; nie współczułem z nim, wydawał mi się nieprawdziwy. Otóż to: cały świat epopei wydał mi się nieprawdziwy, fantastyczny i właśnie tą swoją cudownością, blaskami strojów, zabaw, kolorów, nalotami gwarów, dźwięków, hałasów, gestów — nadzwyczajny, baśniowy, zabawowy i zabawny. Nie byłem już czytelnikiem naiwnym, znałem i „Ballady i romanse" i „Dziady", ale dopiero „Pan Tadeusz" wydał mi się księgą baśni. Czarował moją fantazję, już wtedy estetyczną, fantazję układacza wierszy, zaspokajał głód dziwności tak jak dawniej „Tysiąc i jedna noc". Wyrosłem już z dzieciństwa, a opowieści arabskie uważałem, zgodnie z opinią nauczycieli, za lekturę naiwną, nie pozwoliłbym sobie wtedy na dawne upojenie — i zachwyt nad „Panem Tadeuszem" przesłaniało mi pośredniością doznanie lektury właśnie fantastycznych baśni z dzieciństwa. Baśni już „nie uznawałem", a tu nagle — największy poemat polski działał jak baśń! Zachwycałem się więc jakby wtórnie i zarazem zachwyt ten był jakby podwojony, nie podobny do radości, jaką mi dawały wszystkie inne przedtem przeczytane książki.

Nierzeczywistym, baśniowym wydawało mi się wszystko w tym poemacie: ludzie i przyroda, zdarzenia i rzeczy. Jedynie dworek soplicowski mogłem łatwo umiejscowić na ziemi, obok wielu widzianych dworów w okolicy. Ale Gerwazy w półkozicach i ze Scyzorykiem, Kropiciel, Brzytewka, nawet Sędzia w kontuszu i pasie słuckim byli nie z tego świata. Nie widziane nigdy akcesoria zanikłego świata odsuwały w bajeczne czasy najpospolitsze sceny. Nie dostrzegałem tej rzekomej powszedniości, epickiej przeciętności rodem z „Hermana i Doroty"; tęcza rozpięta nad „wieprzowatością" przemieniała mi ludzi i zdarzenia w baśń. Obyty z przyrodą na wsi, nie poznawałem jej w opisach mickiewiczowskich; brałem przecież nieraz udział w sadzeniu rozsady, obserwowałem, jak zwijała się w głowy, uczestniczyłem jesienią w rąbaniu kapusty, ale na Litwie ta kapusta była nadzwyczajna:

Tu kapusta, sędziwe schylając łysiny,
Siedzi i zda się dumać o losach jarzyny;

Zabawna i mądra, jak w bajkach. A jak fantastyczne były tam drzewa, tak poplątane z obrazem ludzkiego świata, że trudno sobie wyobrazić, żeby trzymały się jednego miejsca, jak zwyczajne drzewa:

Drzewa i krzewy wzięły się za ręce,
Jak do tańca stojące panny i młodzieńce;

Tę pierwszą „konkretyzację" estetyczną dzieła sprawdziłem po latach. W roku 1940 przeczytałem „Pana Tadeusza" na nowo, przygotowując we Lwowie wystawę mickiewiczowską. „Ostatni Zajazd na Litwie", mimo że jego dzikowski rękopis miałem w rękach i byłem świadkiem protokolarnie stwierdzającym stan i dokonaną konserwację, wydał mi się poematem o takiej zaprzeszłości, jak np. „Odyssea". Pradawny, odsunięty w legendę, dziecięco-naiwny, wesoły świat baśni.

Niewątpliwie takiż artystyczny zamiar kierował piórem tęskniącego poety; pragnął opisać piękność kraju lat dziecinnych w całej ozdobie, jak bajeczny żuraw przenieść słowem po słowie wspomnienie dzieciństwa w świat legendy. Taki był najpierwszy zamiar poety i choć poemat się rozrósł, pogłębił i zachmurzył dramatyczną sprawą Jacka Soplicy, pragnienie zrodzone z tęsknoty promieniowało na wszystko, czego opisem swoim dotknął. Dlatego to w tej cudnej epopei przeszłość takimi tęczami łachwyca i takim różanym zachodzi obłokiem.

Jak się to dzieje, że ta „historia szlachecka" działa jak księga baśni? Przecież nie tylko dlatego, że ukazuje ostatnich szlachciców, świat zaginiony, że od wieku już nie widzi się ludzi w kontuszach, pasach słuckich i przy karabeli, ucztujących, polujących, sejmikujących. Wedle pierwszego zamysłu „poema sielskie" miało dać obraz dawnego obyczaju, miało być, na wzór Goethego, podniesieniem do poezji powszedniości i zwyczajności życia. Ale w ciągu pisania — tęsknota od pierwszej księgi wyzłacała krajobraz dzieciństwa, fabuła prześwietlona humorem pęczniała od anegdot, zabawnych i niezwykłych „historii", rarytasów. Zwyczajność zmieniała się w nadmiar, w obfitość taką, o jakiej prawią w baśniach. Codzienne obiady i wieczerze dzieją się w „Panu Tadeuszu" tak obszernie, jakby były najważniejszą czynnością dnia, a dzień jednym ciągiem zabaw i ucztowania. We wspomnieniu sielskiego dzieciństwa każdy dzień przemieniał się w święto. Nad Goethem wziął górę Walter Scott; Mickiewicz dla unieżwyklenia minionego świata gromadził z upodobaniem typy oryginałów, zbierał ostatnie egzemplarze starodawnej Litwy. Przecież z wyjątkiem Tadeusza i Zosi wszystkie postaci epopei to oryginały, dziwacy serdeczni i zabawni, a ponad tymi „charakterowymi" głowami i półgłowami, góruje nadzwyczajna, jak z legendy, postać Jacka, świętego pokutnika. Jak w królestwie bajki — wśród zabawnych, złośliwych i dobrotliwych gnomów nadzwyczajny bohater ratujący biedną sierotę.

Mówi się o realistycznym stylu poety, lecz jak swoisty jest ten realizm. Poeta określił bohaterów tylu ostrymi rysami charakterystycznymi, że postaci przechylają się albo ku karykaturze, albo ku legendarnej niezwykłości. Dla ukazania całej ozdoby przyrody ojczystej, gromadzi w krajobrazie kwiaty kwitnące w różnych porach roku, — maki kwitną w „Panu Tadeuszu" w porze koszenia otawy. Zagęszcza i wyjaskrawia barwy, przerysowuje kontury nie tylko dla dobitności, ale przede wszystkim po to, by, uniezwyklić kraj wspomnień, przenieść go w świat poezji, pojętej jako „wieść gminna", baśń.

Tych tęcz piękności, o których mówił Słowacki, tego zaczarowania przyczynia walnie wieprzowatej szlacheckości sposób opisu przyrody, tyle sławione krajobrazy w „Panu Tadeuszu". Jakże dalekie są one od rozwijanych jakby w sprawozdawczej lustracji szczegółów w „Hermanie i Dorocie". W stylu opisowym Mickiewicza uderza wszędobylska i wszechwładna maniera uczłowieczania, ustawiczna personifikacja. Poza opisem dworku soplicowskiego na początku księgi pierwszej trudno znaleźć opis, w którym by człowiek jako składnik porównania nie wchodził w samą formę opisu, w którym by drzewo było drzewem tylko, a nie: brzozą — kochanką z małżonkiem swym grabem, w którym by karczma nie upodobniła się do modlącego się Żyda, harbuz nie był zarazem otyłym jegomościem, a purchawka pieprzniczką itd., itd. Stawy, struga, niebo i ziemia, słońce i gwiazdy — cały świat został w obrazowaniu poetyckim przebrany za człowieka. Sprawia to wrażenie jednej wielkiej **bajki.** W ogóle spraw dziejących się w epopei przyroda potraktowana jest poetycko jako element fantastyczności, baśniowej niezwykłości.

Ileż baśniowych opowieści zgromadził Mickiewicz w swoim dziele! Nie tylko najdrobniejszy szczegół przyrody ujęty jest tak, jak w bajce, warto zwrócić uwagę, że obrazując całość żywiołów sięgał po interpretację baśniową; dość wspomnieć astronomię Wojskiego, według baśni ludowej ukształtowany obraz nieba, który Mickiewicz aprobuje przeciw z nauki czerpanej interpretacji Tadeusza i baśniowy wyraz jaki dał historycznej wiośnie 1812 roku. Kulminuje takie właśnie spojrzenie na przyrodę w obrazie samego wnętrza żywiołu przyrody litewskiej, w opisie matecznika.

Tak powstał w „Panu Tadeuszu" świat napół serio napół żartem, serdeczny a zabawny, przechylony w krainę baśni, w zamierzchły ostęp fantastycznej zabawy i fantastycznej tragedii, tyleż realny i tyleż zmyślony, co „Odyssea" lub „Don Kichot".

Bo jakże to bywa w historii literatury z tym dążeniem do stylu realistycznego, z wymogiem prawdy, z żądaniem wiernego obrazu rzeczywistości? Był czas, kiedy „Lejbe i Siora" były w porównaniu z „Nadobną Paskwaliną" niezwykle śmiałym, realistycznym ujęciem tematu. Nic się tak nie starzeje, jak pojęcie o wiernym odtwarzaniu rzeczywistości. Nawet realizm Flauberta wydaje się dziś ciasny, bo dostatecznie nie ukazuje społecznego podłoża drobnomieszczańskiego dramatu pani Bovary. W miarę, jak umysł ludzki zdobywa coraz więcej obiektywnych sprawdzianów rzeczywistości, nasze wymogi pod adresem epiki, prozy opisowej i interpretującej, rosną. Stare obrazy epickie — tracą na sile sugerowania wizji świata zgodnej z rzeczywistością — i albo jak „Don Kichot" — stają się symbolami pewnej zasadniczej postawy wobec świata, albo pozbawione tej „typologii" wyobrażeń twórczych, idą na skład nieużytecznej rupieciarni w starym domu historii literatury — albo, tracąc stopniowo w odczuciu czytelników na zgodności ze światem rzeczywistym, oblekają się w kolory baśni.

Dziś wymagamy od romansopisarza niesłychanie wiele, nie zajmują nas dzieje kochanków, ani osobiste perypetie powieściowych ludzi, nie nasyci naszego głodu skrzętne zgromadzenie realiów, żądamy więcej. Demonstracji na zgromadzonych przykładach tez określonej filozofii kultury; nie wystarcza zgodne z doświadczeniem a kompozycyjnie wymowne zgrupowanie zdarzeń, chodzi o ukazanie ich sensu obiektywnego. Czy rosnąca ciągle wysokość wymagań nie zahamuje rozwoju romansu na rzecz essayu, rozprawy, literatury pamiętnikarskiej i dokumentarnej? Wrócimy wtedy do takich wielkich wizji jak „Pan Tadeusz", „Odyssea", od powieści wrócimy do epopei.

Dawne romanse ubajecznia też staroświecka ich technika, naiwność schematów znanych na wylot tak jak w bajce, gdzie zwierzęta zawsze poprzebierane są za ludzi. Szczególnie wyraźny schemat walterscottowski bawi nas i śmieszy, jak stara zabawka i przenosi w dzieciństwo wyobraźni powieściowej. Ze schematu tego występują ostre kanty i sprężyny, czytelnik w lot się orientuje, jakimi sznurkami autor porusza swoje figurki. Ludzie grupują się parami, na prawie kontrastu i podobieństwa, wątki splatają się wzajemnie — wszystko to bawi jak w bajce, uniezwykla, odrealnia treść zdarzeń i **samą formą** uwydatnia humor, z jakim poeta traktuje swój przedmiot. Jeśli Mickiewicz posłużył się modnym naówczas schematem kompozycyjnym Walter Scotta, a nie Homera — te cele miał na względzie. Tak przenosił od razu swoją historię szlachecką w krainę baśni.

W miarę jak oddalamy się od czasów ostatniego zajazdu na Litwie poemat Mickiewicza będzie dziwniał i zamieni się w baśń tak nierzeczywistą jak „Odyssea". Czymże już dzisiej, w epoce bomby atomowej, jest bitwa, w której używano maczug i szpontonów, w której rozstrzyga — tak zabawnie wprowadzona do bitwy — sernica, jak nie ucieszną bajką dla dorosłych. Jakąż grozą, w przeciwieństwie do tej zabawnej bijatyki, pełnej jarmarcznego ruchu, zamaszystej gestykulacji i heroikomicznych epizodów, bije od opisu bitew w „Iliadzie". W ciągu wojny przeczytałem po raz drugi dwa wielkie dzieła o wojnie: Homera i Tołstoja. Znam powieści o pierwszej wojnie światowej. Ale z żadnego dzieła, opisującego wojnę nie uderzyła we mnie taka w jednym błysku ukazana okropność i zabijania i umierania na wojnie — jak z „Iliady". Powtarzają się tam obrazy walki nad poległymi bohaterami. Jak straszliwie ostra wizja bitwy: padł wojownik, „trafiony tam, gdzie szyja łączy się z tułowiem i ustami wyzionął życie", jak krótko i surowo stwierdza Homer — i oto już nie o sprawę żywych, ale o tego trupa wre najzacieklejsza walka. **Bitwa o trupa,** czyż może być okrutniej ukazany demon wojny — oszalały Diomedes. W „Panu Tadeuszu" bitwa nie ukazuje okrutności zabijania, jest wesoła, nierzeczywista, bajeczna, skomponowana ciekawie, cudownie. Choć Sienkiewicz też lubował się w scenach batalistycznych dla ich piękna — chciałoby się rzec — matejkowskiego, jakże mu daleko do pełnych humoru i ruchliwych scen bitwy w „Panu Tadeuszu".

Znikły ostatnie Soplicowa na ziemiach polskich i tylko z opisów w „Panu Tadeuszu" dzieci nasze będą się dowiadywać o minionej historii szlacheckiej. Wszystkie składniki tej epopei, które jeszcze w XIX wieku, mimo wyraźnej tendencji do ich ubajecznienia, miały styczność z życiem żywych — przemienią się na nadzwyczajne przygody wielkiej baśni. Na przykład uwłaszczenie włościan: rzucenie w przyszłość takiego obrazu-programu miało w swoim czasie wymowę społeczno-polityczną, ale nie przygotowane w toku całego poematu działa artystycznie teraz i wtedy zapewne, jako jeszcze jedno różowe, bajeczne, w czasie uczty wypite „Kochajmy się"! Albo elementy wzięte z mitologii chrześcijańskiej. Poeta traktował je niekiedy świadomie ornamentacyjnie i baśniowo, tworząc na przykład nieistniejące święto Matki Boskiej Kwietnej. Nawet tam, gdzie odzywa się nieuśmiechnięty chrześcijanin, to jest w spowiedzi Jacka, nie omieszkał skroni umarłego ozdobić promykami wschodzącego słońca jak aureolą. Czyż czytając: „Panno Święta, co Jasnej bronisz Częstochowy"..., nie słyszymy już tego wezwania tak jak homeryckiej inwokacji: „Bogini, opiewaj gniew Achillesa"? Obrazek jasnogórskiej muzy, oprawiony w poemat, ocaleje w wyobraźni potomnych, jako być może jedyny, trwalszy w naszej poezji obraz — z jakże ubogiej w porównaniu z helleńską — mitologii chrześcijańskiej.

Są zadawnione tendencje historyków literatury, by na „Pana Tadeusza" patrzeć jak na epopeę narodową, skarbnicę wiedzy patriotycznej, katechizm cnót. Lecz czy „Pan Tadeusz" jest w istocie takim zwierciadłem — jak się to mówi — ducha narodu? I dawniej podnoszono zastrzeżenia przeciw temu, a i nowsze uwagi Boya o majątkowych kombinacjach Sędziego i Jacka i zwłaszcza krytyka J. N. Millera — ostrzegają przed zbyt drobiażgowym wnikaniem w wartość etyczną bohaterów. Sens moralny poematu leży głębiej i nie da się sprowadzić do katechizmowych przykazań. Również byłoby brakiem wyobraźni i szkolną łopatologią widzieć w tej epopei — tylko nakaz walki o wolność, poświęcenia się dla ojczyzny itp. oczywiste rzeczy, które głosiła zawsze cała poezja polska. Wartość wychowawcza „Pana Tadeusza" — jak każdego wielkiego dzieła — jest trwalsza, pośrednio wynikająca z materii wyobraźniowej poematu; porywając codzienność w świat baśni, radując i bawiąc bajecznymi, buńczucznymi i barwnymi postaciami — dzieło to nadaje niebywały rozmach naszej fantazji, usposabia nas do bujnego i pełnego życia umysłu i serca, i przez dalsze pośrednie ogniwa oddziaływania duchowego uczy nas — nie uczy — **wprawia nas** w dzielność. „Pan Tadeusz" — to polonez wyobraźni narodowej. Działa jak polonez Chopina i to jego największa chwała.

Julian Przyboś

W poprzednim (51) numerze „Odrodzenia" z dnia 18 listopada: **Stefan Żółkiewski:** Głos marksisty. — **Wiesław Osterloff:** Źródło przestępczości w ustroju. — **Stanisław Helsztyński:** Nieznany Polsce gród Koszalin. — **Maria Kuryluk:** Spotkania z Niemcami. — **Jalu Kurek:** Warszawa. — **Artur Sandauer** (rysunki **Adama Marczyńskiego**): Dialogi z umarłymi. — **Wacław Kubacki:** Pierwszy list z Poznania. — **stl:** Polskie Wydawnictwo Muzyczne. — **Jerzy Antoniewicz:** Potrzeby naszej prehistorii. — **Tadeusz Breza:** Przegląd teatralny. — **Stanisław Dygat:** Rewia taneczna w teatrze „Groteska". — **Zdzisław Wiktor:** Za czasów Rzeczypospolitej Krakowskiej. — **Stefania Łobaczewska:** Życie koncertowe w Krakowie. — **hb:** Sprawy słowiańskie. — **zb:** Przegląd prasy. — Korespondencja (**Adam Kleczkowski, Jerzy Pogonowski, Roman Bratny**). — 2 ilustracje. — 8 stron.

WACŁAW KUBACKI

Tyrtejski żywot i pieśń

Na wiek XVIII, zwany wiekiem Oświecenia, przypada drugie po renesansie potężne zasilenie się myśli europejskiej kulturą i ideałami świata starożytnego. Oświecenie pośród innych symbolów antycznych wskrzesiło także pojęcie poezji tyrtejskiej, czyli poezji bojowej. Wiek fermentu ustrojowo-społecznego, przygotowującej się rewolucji francuskiej i ruchów wolnościowych sprzyjał rozwojowi tyrteizmu, który rozszerzył swe pierwotne znaczenie obejmując nie tylko pieśń bojową i pobudkę patriotyczną, lecz także ideę ogólnej sprawiedliwości i wolności wszystkich ludów uciemiężonych.

Na wiek ten przypada sformułowanie społecznych i patriotycznych zadań poezji (do której sprowadzano wówczas prawie całą literaturę piękną), co jedni badacze uważają za chlubę wielkiej polskiej poezji romantycznej, co zaś w oczach innych uchodzi za grzech śmiertelny tego kierunku literatury narodowej. Mickiewicz został słupem ognistym prowadzącym lud swój znękany do ziemi wolności, w krainę tęsknot i snów, w której wszystko było na miarę marzenia: zgoda i miłość wzajemna rodaków, mieszkańcy-wielkoludy, uzbrojeni w potężne rażące wrogów miecze i jeszcze mocniejsze tyrtejskie harfy oraz słodycze życia mleczno-miodowego pośród wiecznego pokoju, owoców i kiści winnych takich rozmiarów, że zapewne każdą co najmniej dwu mężów na drągu dźwigać by musiało.

Mało kto jednak zdaje sobie sprawę, że myślą o duchowym wodzostwie, mrzonką rzekomo romantyczną, przejął się Mickiewicz z dzieł trzeźwego Oświecenia. W dobrze znanej Mickiewiczowi encyklopedii sztuk pięknych J. G. Sulzera, którą filomaci zamierzali nawet przetłumaczyć, czytamy o następujących zadaniach poety: „Jak Orfeusz czyni on dzikich ludzi łagodnymi; jak Tales doprowadza on obywateli do zgody i chętnego posłuszeństwa prawom; jak Tyrteusz sprawia, że stają się oni niezwyciężeni przeciw wrogom państwa i wygrywa bitwy swymi pieśniami; jak Homer staje się on zaufanym nauczycielem męża stanu, bohatera i każdego zwyczajnego obywatela. Oto są drogi wiodące poetę do wieńców zasługi" (Lipsk, 1786—7, t. I, str. 424).

Tyrteizm był zatem nie tylko pewną odmianą poezji, jak oda, hymn, elegia. Był ideałem twórczości, stanowił warunek sine qua non wielkiej poezji. Każdy prawdziwy poeta musiał być Tyrteuszem. Nie jest to zjawisko typowo polskie, jakby się zdawało. Przypomnijmy, że współcześni za złe brali Goethemu, iż w twórczości swej nie poruszał politycznych bolączek Niemiec; stary Olimpijczyk zdobył się zresztą na pewne akcenty tyrtejskie w „Pandorze". Rewolucyjnym armiom francuskim towarzyszyły sławne pieśni wojenne. Rosyjscy poeci, bez względu na stosunek do rządu, wspierali pieśnią wysiłki podejmowane bądź w obronie bądź w ekspansji swego kraju; wystarczy wymienić antynapoleońskie ody Dierżawina oraz utwory Żukowskiego i Puszkina „Na wzięcie Warszawy".

Filomaci, jak przystało na wychowanków Oświecenia, pielęgnowali tradycje tyrtejskie, czyli myśl społecznej użyteczności poezji. W bibliotece seminarium filologicznego prof. Grodka była edycja Klotza „Tyrtaei carmina". Jedną z zachowanych bojowych pieśni poety greckiego umieścił Krasicki w swym dziele „O rymotworstwie i rymotwórcach". Fr. Malewski zaprasza w roku 1819 Mickiewicza na imieniny przypadające na wilię Bożego Narodzenia następującymi słowami: „Czekamy ciebie, Adamie, czekamy! Przywieź nam tylko na podnietę cokolwiek wierszy swoich; będziesz i jesteś naszym Tyrteuszem. Piosnka Twoja wiele działa, nie zapominaj o tym". Na tych imieninach Jan Czeczot czyta utwór „Tyrteusz", gdzie uderza nas motyw zemsty, który swym powtórzeniem „zemstą, zemstą, zemstą tchnijcie", zapowiada znany refren pieśni Konrada w celi bazyliańskiej. Spotykamy w tej elukubracji tyrtejski motyw przeciwstawienia życia pokojowego, wygodnego, szczęścia osobistego życiu wojennemu, ofiarnemu. Brzmi to jak zapowiedź rozstania Alfa z Aldoną z „Konrada Wallenroda". W zakończeniu Czeczot zwracał się do solenizanta ze słowami, w których zarysowuje się podwójna rola Tyrteusza — Halbana: opiewać czyny bohaterów i w ten sposób budzić ducha bojowego w ziomkach.

Imieniny Mickiewicza w 1819 odbyły się pod znakiem Tyrteusza. Imieniny filomatów były ucztami poetyckimi. Aluzje tyrtejskie, jakie padły w wierszach okolicznościowych wygłoszonych na tej koleżeńskiej fecie, wskazują na to, że przyjaciele chcieli uczcić w Adamie piewcę tyrtejskiego tematu. Mickiewicz pracował wówczas nad tragedią „Demostenes", o której tyle wzmianek w korespondencji filomackiej.

Dochowane strzępy wiadomości o tym dziele nie wykraczają poza zwyczajny schemat, jaki historyczna postać Demostenesa narzucała młodemu, patriotycznie nastrojonemu poecie, który studiował historię i filologię klasyczną. W studium historii kładziono wówczas nacisk na naukę obywatelską. Profesorem zaś filologii był Grodek, który pracował nad Demostenesem, ogłaszał krytyczne poprawki jego tekstów i komentował w Wilnie w czasie studiów poety sławną „Mowę o wieńcu". Mógł też Grodek, jako uczeń filologii niemieckiej i mason, wpływać na wytwarzanie pewnej atmosfery politycznej wokół studiów filologicznych, podobnie jak wytwarzała ją dotąd, niejako z urzędu, nauka historii.

Demostenes wielokrotnie w dziejach odegrał rolę tyrtejską. Był Tyrteuszem chrześcijaństwa w czasach zmagania się Europy z islamem, był natchnieniem trybunów rewolucji francuskiej, Niemców zapalał do walki z Napoleonem. Na Demostenesie w tłumaczeniu ks. Ign. Nagurczewskiego uczyli się miłości ojczyzny uczniowie Szkoły Rycerskiej. Kajetan Koźmian w pochwale Nagurczewskiego, wygłoszonej w Warszawskim Towarzystwie Przyjaciół Nauk w roku 1816 dowodził, iż legiony i książę Józef pod Raszynem są przykładem skuteczności wzorów, jakie swym wychowankom stawiał przed oczy zasłużony nauczyciel historii starożytnej i ojczystej tudzież tłumacz demostenesowy.

Historiografia XVIII wieku zajmowała się dziejami upadku Grecji i rolą, jaka przypadła wówczas w udziale Demostenesowi, trybunowi i Tyrteuszowi demokracji ateńskiej. Wyraźnie podkreśla cechy tyrtejskie Demostenesa De Mably, autor „Uwag nad historią grecką czyli o przyczynach pomyślności i nieszczęścia Greków": „Jeżeli zaś który człowiek był zdolny do wyprowadzenia Ateńczyków z tej podłości, o którą przyprawiło ich zatapianie się w rozkoszach, do przywrócenia dawnego męstwa w Grekach i do sprawienia w nich jednegoż ducha, to był Demostenes..." Nic tedy dziwnego, że bał się go Filip Macedoński i nie chciał, „aby Demostenes ożywiał wyniosłość w Grekach przypominając im wielkie czyny przodków ich" (tłum. pol., Warszawa 1771, str. 160 i 167). Było to prawdopodobnie jedno ze źródeł Mickiewicza.

Demostenes był ideowym przywódcą partii demokratycznej, bojowej. De Mably ganił za Polybiuszem uczuciową, nieopatrzną i zgubną dla Aten działalność Demostenesa; chwalił natomiast pojednawczą, trzeźwą politykę Focjona, wodza stronnictwa umiarkowanego, konserwatywnego. Przekłady i przeróbki Plutarcha spopularyzowały w tym czasie żywoty obu mężów stanu. Żywot Focjona zawierający wyraźną tendencję ugodową wobec najeźdźcy, pióra Ignacego Krasickiego, znajdował się w wypisach szkolnych ks. Pawła Chrzanowskiego „Wybór różnych gatunków mowy wolnej z stosownymi uwagami". Na przedstawionym historycznym tle zainteresowanie, jakie osobie Demostenesa okazał autor „Ody do młodości", nabiera specjalnego znaczenia. Z dwu stronnictw pragnących ratować Grecję Demostenes reprezentował obóz postępu, młodości i entuzjazmu, obóz rozumnych szałem i mierzących siły na zamiary. Jego więc wybrał na bohatera, a De Mably'ego ścigał sarkazmem jeszcze w „Prelekcjach paryskich".

Dzieje upadku demokracji ateńskiej narzucały analogie z upadkiem Rzeczypospolitej. Filip Macedoński i mocarstwa zaborcze były despotycznymi potęgami; Polska zaś i Grecja to słabe demokracje, to pospolite ruszenia obywatelskie przeciw zorganizowanemu militaryzmowi. Demokracje po równi bezrządne, przekupne i niedołężne. Filip i potencje zaborcze zręcznie mieszają się do spraw wewnętrznych swych sąsiadów wyzyskując ich waśni i zatargi. Filip na czele amfiktionii delfickiej mścił, dla swej politycznej korzyści, krzywdę Apollina w świętej wojnie przeciw Focydzie; zaborcy ujmują się za polskimi dyssydentami. Filip grał rolę protektora demokracji w Grecji, uwolnił Tessalczyków od tyranów i bronił Argiwów przeciw imperialistycznej Sparcie; zaborcy dążą do utrzymania złotej wolności w Polsce. I Filip i zaborcy działają przez agentów, demagogów wziętych na żołd. W obu też wypadkach dużą rolę odegrała zdrada konserwatywnych warstw, jakbyśmy dziś powiedzieli, naturalne przymierze kapitalizmu z militaryzmem. Bogacze ateńscy zagrożeni od wewnątrz widmem reform socjalnych szukali u Filipa ochrony swych majętności i przywilejów, jak w wiekach poprzednich szukali jej w monarchicznej Sparcie lub u satrapów perskich. Podobnie w Polsce lęk przed jakobinizmem i reformami społeczno-politycznymi, które wysunął obóz patriotów, pchał magnatów i ciemne tłumy szlacheckie w objęcia Targowicy.

Współcześni uświadamiali sobie tę analogię, jak wynika ze wspomnianej pochwały ks. Nagurczewskiego. „Objął on" — powiada Kajetan Koźmian — „jako cnotliwy ziomek nieszczęśliwe podówczas chwile, podobne do ostatnich czasów Grecji i Rzymu i przeciwko wzrastającemu duchowi zbrodni w gromiące wymowy pioruny młodzieńców uzbrajał. Już na tę podówczas nieszczęśliwą ziemię rósł w potęgę Filip, którego skrytych zamachów, jak niegdyś Grecja, stać się miała igrzyskiem; już ją skaziły własne Katyliny i Werresy; przeciwko nim więc przysposabiał ojczyźnie Demostenesów i Cyceronów". Najbardziej politycznie wyrobiony pośród Filomatów Michał Rukiewicz, późniejszy czynny działacz-konspirator, czytał w grudniu 1819 roku na posiedzeniu Wydziału Literackiego „Krótkie uwagi nad polityką Filipa, króla Macedońskiego". Mickiewicz w roku 1832 w liście do Lelewela porównywał Francję do Aten z czasów Demostenesa.

Tragedii swej Mickiewicz nie skończył i prawdopodobnie ją zniszczył. Komentarza do tego faktu można by szukać w ogólnej atmosferze politycznej. Koźmian chwalił Nagurczewskiego za to, że ojczyźnie zagrożonej zaborem i zdradą przysposabiał Demostenesów i Cyceronów. Oświecenie bowiem wierzyło w rozum, w potęgę argumentu, w słowo. Tymczasem wypadki polityczne dokonały charakterystycznego przewartościowania. Dla nowego pokolenia mówcy przestali być bożyszczami. Rewolucja francuska, wojny Napoleońskie i czasy spisków podziemnych, wstrząsających tronami po kongresie Wiedeńskim, uświadomiły Europie znaczenie czynu. Demostenes ustąpił z mównicy. Wcieli się z czasem w twórczości Mickiewicza w bojownika i spiskowca-Wallenroda. Poemat ten może uchodzić w równym stopniu za komentarz poetycki do przeżyć wileńsko-filomackich, co późniejszych rosyjskich.

Nie znaczy to wcale, żeby tyrteizm zniknął. Obok Wallenroda stoi pieśniarz i stróż tradycji narodowej, Halban. Tylko słowo mówcy przeznaczone do przekonywania obywateli, ze swej roli intelektualnej zmieni się w słowo-funkcję uczuciową, w słowo poetyckie, które ma wzruszać, wspominać, pobudzać i wieszczyć. Poetyka klasycystyczna dzieliła literaturę na wymowę i poezję. Wypadki polityczne sprzyjają przesuwaniu się punktu ciężkości piśmiennictwa ku skrzydłu poezji, co w terminologii historyczno-literackiej nazywa się romantyzmem. Rozgromienie filomatów i dekabrystów odbiło się w tej przemianie. Filomaci ocalili z procesu, więzień i zesłania dwa tyrtejskie symbole schyłku niepodległości: pamięć Konstytucji 3 Maja i kult Kościuszki.

Na wygnaniu w Rosji dokonuje się u Mickiewicza doniosła przemiana: tyrteizm jego oczyszcza się i uwzniośla, co prowadzi w związku z sytuacją europejską do pewnego umiędzynarodowienia uczuć patriotycznych; sprawa Polski staje się sprawą przyszłej światowej rewolucji: wojny powszechnej o wolność ludów. Etyczne oczyszczenie tyrteizmu z uczuć ślepej zemsty łączy się z przełomem romantyczno-religijnym poety; zjawisko drugie można uważać za odmianę osiemnastowiecznego kosmopolityzmu. Dwa bowiem nurty, klasyczny i romantyczny, kształtowały Mickiewicza.

Jan Czeczot, filomacki Halban, pilnował zemsty. Jak wnosić można z odpowiedzi poety, strofował surowo Mickiewicza za obcowanie z Rosjanami. „Cytujesz Moabitów! jakże, chciałbyś po starozakonnemu zemstę wywierać na pierworodnych dzieciach, na psach nawet — bo widzę, że myszy nie oszczędzasz" (5 styczeń 1827). Nie przepuścił też Zanowi, który wielkodusznie wziął na siebie cały ciężar procesu filareckiego. Ten dobrowolny męczennik sprawy filomackiej zapisał w swoim dzienniku szereg dojmujących wyrzutów, jakie mu czynił Czeczot („Z wygnania", Wilno 1829, str. 67). Szło znowu o stosunki towarzyskie z Rosjanami; Zan na zesłaniu ośmielił się także zakochać, nieszczęśliwie zresztą, w Rosjance!

Sprzeciw ludzkiego uczucia w Konradzie Wallenrodzie, przesyt zemsty, jego wyrzuty sumienia i dążenie do ekspiacji, to wyższość moralna Zana i Mickiewicza nad starozakonnym, szowinistycznym duchem Czeczota. Zan notuje w swym dzienniku: „żyć dla zemsty nie umiem, a raczej nie znajduję na ziemi nic, coby mojej zemsty godne było" (str. 43) Konrad Wallenrod wyznawał:

Zdrady mnie nudzą, niezdolny do bitwy,
Już dosyć zemsty i Niemcy są ludzie.
Bóg mnie oświecił...

Wiadomo, że tu nie o Niemców chodziło, tylko o stosunek do Rosjan. Zwrot „Bóg mnie oświecił" zapowiada nadto religijną symbolikę, w jaką ubierze poeta rewizję swego stosunku do Rosji w „Dziadach drezdeńskich".

W scenie bazyliańskiej mamy rozprawę literacką z pogańskim tyrteizmem Czeczota: w usta skarconego przez ks. Lwowicza i opętanego potem przez diabła Konrada wkłada poeta pieśń zemsty wzorowaną na utworach Czeczota, na jego „Tyrteuszu" i „Dumie nad mogiłami Francuzów". Przypomnijmy, że scena ta dzieje się w wigilię Bożego Narodzenia, czyli w imieniny Adama. Mamy tu zatem jakby nawiązanie do imienin z 1819, w czasie których Czeczot niejako oficjalnie obarczył Mickiewicza zadaniami tyrtejskimi. Wizja ks. Piotra zapowiada nawrócenie Rosji-Longina, po przebiciu boku ukrzyżowanej Polski, w myśl starej chrześcijańskiej legendy. Mickiewicz oddzielił naród rosyjski, który bliżej poznał w ciągu paroletniego wygnania, od despotycznego reżymu. Wyodrębnił Rosję od caratu. Gorycz wyssana ze krwi i łez nieszczęśliwej ojczyzny miała żreć i palić nie przyjaciół Moskali, lecz ich — okowy.

Upadek powstania listopadowego ożywił obie postaci tyrteizmu mickiewiczowskiego. Poeta wspomina męczeństwo filomackie, prześladowania patriotów warszawskich, sławi Emilię Plater, unieśmiertelnia bohaterską obronę „Reduty Ordona", opiewa wolnościowy powiew wiosny 1812 czyniąc właściwego bohatera epopei, ks. Robaka, konspiratorem i emisariuszem. W dramatach francuskich wskrzesza czasy Konfederacji Barskiej i powstania kościuszkowskiego na Litwie. Pobudkę tyrtejską i demostenesowską pasję odnajdziemy w „Ustępie" III części „Dziadów" oraz w „Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego". Zżycie się z postacią i pismami obrońcy demokracji ateńskiej nie poszło na marne. Filomackie soki tyrtejskie zasiliły późniejszą twórczość Mickiewicza. Zaginiona tragedia o Demostenesie nie przepadła bez śladu. Pierwsza Filipika i „Mowa o wieńcu" ukazały tajemnicę powodzenia Filipa w słabości, małoduszności, sobkowstwie, reformach na papierze i przedajności Ateńczyków, których z powodzeniem można by zastąpić obywatelami ginącej Rzeczypospolitej Polskiej. W „Mowie o wieńcu" mamy nadto obronę klęski pod Cheroneą, motyw idealnego zwycięstwa zza grobu, myśl o moralnej wyższości ofiary nad oprawcą, mierzenie wielkości i trwałości osiągnięć politycznych wartością moralną mężów stanu, słowem ziarno, które wybuja w romantyzmie polskim, co dotąd jednostronnie łączono z mesjanizmem biblijnym.

Demostenesowski motyw przewagi siły moralnej, poświęcenia i porywu nad samą ilością wojska występował już w „Konradzie Wallenrodzie":

A przeciwnik dumny tłumem swych żołnierzy
I pomocą sprzymierzeńców
Myśli, że męstwo liczbą się mierzy.

Demostenesowskie przeciwstawienie dwu kultur i dwu obyczajów, szlachetnych, oświeconych Greków i barbarzyńskiego, bezbożnego Filipa odbiło się wielokrotnym echem w „Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego", ma nadto swój odpowiednik w sławnym porównaniu pomnika Piotra Wielkiego i Marka Aureliusza. Jak Demostenes w III Filipice Greków, tak Mickiewicz wzywa Europę w przypowieści o wilkach i malarii, by nie czekała aż zło i zaraza ucisku i tyranii stanie u jej progu. Pewne szarże rozjadłego mówcy z II Mowy olintyjskiej przypominają się przy czytaniu satyrycznej części tzw. Ustępu „Dziadów Drezdeńskich". Niektóre partie „Drogi do Rosji", „Przedmieść stolicy", „Petersburgu", a zwłaszcza „Przeglądu wojska" przedstawiają cara, jak szafuje zdrowiem, mieniem i życiem poddanych dla dogodzenia swej wojennej ambicji i próżności; nienawiść dla wrogiego ustroju państwowego miesza się zupełnie w stylu Demostenesa ze współczuciem dla ludu rosyjskiego.

Mównicę ateńskiego patrioty zastąpiły w emigracyjnym życiu poety początkowo łamy prasy, a potem katedra w Collège de France, skąd znowu zagrzmiał tyrtejski zew, w postaci idei napoleonizmu. Ta faza tyrtejska formalnie zbliża się do epoki studiów nad Demostenesem: wymowa luzuje pieśń! Punkt ciężkości w poetyce tego okresu przesuwa się ze skrzydła poezji na skrzydło wymowy we wszystkich jej klasycystycznych odmianach: doradczej, sądowej, politycznej a nawet kaznodziejskiej! W historii literatury nazywa się to zamilknięciem poety.

Wreszcie przychodzi chwila w życiu Mickiewicza, kiedy mąż czynu, mówca polityczny i pieśniarz tyrtejski zespalają się w jedną osobę w płomieniu rewolucji 1848 roku. Następuje wyprawa do Włoch, próba stworzenia legionu polskiego i postawienia Piusa IX na czele europejskiego ruchu wolnościowego, sławna audiencja u papieża, na której pada równie sławny okrzyk o duchu bożym przebywającym w bluzach paryskiego ludu. Jak po upadku powstania, podobnie i teraz pióro przejmuje funkcję miecza. Poeta jeszcze raz zostaje Demostenesem. Pismo, z którego przemawia do jęczących w niewoli narodów Europy, nazywa się nawet „Trybuna Ludów".

Ostatni poryw do czynu przynosi wojna krymska. W roku 1855 Mickiewicz wyjeżdża na wschód do tworzącego się w Turcji wojska polskiego. Dwa razy Krym wchodzi w życie Mickiewicza: raz jako teren wycieczki, a drugi raz jako teren wojny. Oba te wypadki stanowią punkty szczytowe tyrteizmu Mickiewicza. Krym po raz pierwszy, to było zesłanie po procesie filareckim i konspiracja petersbursko-odeska. Jakby dla większego zadziwienia potomnych wojażowała mucha razem

z pająkiem; piękne krajobrazy krymskie oglądał filomacki spiskowiec z wojennym gubernatorem hr. Wittem. Z kryształowych wód wyzierał polip... Drugi szczyt to wymodlona wojna z caratem. To jakby początek i koniec. Młodość i starość poety. Marzenie i spełnienie.

Mickiewicz był tym szczęśliwym człowiekiem, którego starość dorównała lotom młodości. Starość nie pozwoliła zawstydzić się górnej młodości, której skryte tęsknoty zdradził poeta w IV części „Dziadów", gdzie Gustaw wyznawał:

Kiedyś duch mój przy wieszczym zapalał się rymie.
Kiedyś budził mnie ze snu tryumf Milciada.

I nie jest rzeczą przypadkową w zjawisku wracającej fali młodości, że do tego właśnie miejsca plutarchowego żywota Temistoklesa wraca poeta w prelekcji paryskiej z dnia 23 kwietnia 1844 r. Starcowi dane było zwiedzić miejsca wsławione homerowym eposem, którym wzruszał się i zachwycał od młodych lat ten największy klasyk poezji polskiej.

Jeszcze raz na schyłku życia uśmiechnął się pierwszemu polskiemu romantykowi — wschód. Orientalny barok „Sonetów krymskich" ożywa pod piórem towarzysza tureckiej wyprawy Mickiewicza, sługi i domownika, kozaka Służalskiego, który pierwszy list z Konstantynopola zaczyna, według „Wspomnień" córki poety, Marii Goreckiej, od słów: „Gdybym miał Bosfor cały za kałamarz, a najcieniej zatemperowany minaret za pióro, jeszczebym nie potrafił opisać..." Pierwszy raz znalazłszy się na wschodzie, pośród dostatków i kras, rubinowych morw i złotych ananasów wzdychał do ubogiej Litwy. Przepych krymskiego krajobrazu zwiększył oddalenie od stron rodzinnych. Wyprawa druga na romantyczny wschód przybliżyła mu daleką ojczyznę radując serce genialnego realisty orientalnym nieporządkiem. Karol Brzozowski przechował następujące wyznanie Mickiewicza z tych czasów: „Mówiono mi, rzekł, że w Smyrnie ma być grota Homera, ale ja tam nie ciekawy tego! Ja się przypatrywałem czemu innemu. Leżała tam kupa gnoju i śmieciska, wszystkie szczątki razem: gnój, śmieci, pomyje, kości, potłuczone czerepy, kawał podeszwy starego pantofla, pierza trochę; — to mnie się podobało! Długo stałem tam, bo zupełnie tam było jak przed karczmą w Polsce" (wyd. sejm., XVI, str. 452).

Zaczęły się na tym wschodzie przeróżne marzeń spełnienia i serca pociechy przez swą nieoczekiwaność niebezpieczne, bo one to zapowiadać zwykły zbliżający się kres. Wykwintne towarzystwo wycieczki krymskiej zmieniło się obecnie w wojackie bractwo; salony odeskie na biwak; miękkie wezgłowia buduarów na obozowe łoże w Burgas. Rozradowało go życie wojenne; w ostatnich listach-biuletynach przewijają się sotnicy, rekruci, konie, rynsztunek, szable, kołpaki. „Zdawało mi się, że byłem na łonie ojczyzny" — pisze o wrażeniach z kwatery Sadyka-Czajkowskiego do ks. Adama Czartoryskiego (25 października 1855). Gustaw dopiero teraz naprawdę został Konradem, kochankiem ojczyzny, żołnierzem. Ciałem się stała ulubiona aria Mozarta „Non più andrai", opiewająca przeobrażenie atłasowego pazia poety Cherubina w wojaka, która w „Dziadach Drezdeńskich" grała tylko rolę rekompensaty marzeniowej.

Dwa razy był Mickiewicz Farysem. Raz w pochwale Emira Tadż-Ul-Fechra Rzewuskiego, czyli w realizacji poetyckiej. Drugi raz w realizacji życiowej, gdy cwałował obok Sadyka-Czajkowskiego na czele oddziału kozaków ottomańskich, jak go przedstawiają stare ryciny. Gdy jednak pierwszy Farys jakby naprzekór klęsce politycznej, prześladowaniu i rozproszeniu filomatów oraz rozgromieniu dekabrystów, na przekór niewoli i rozpaczy skończył zwycięsko swój zawrotny bieg — Farys drugi w rozkwicie powtórnej młodości poety, w słońcu, jak się wówczas zdawało, nowych nadziei pada przed metą. Starość dotrzymała kroku młodości, która zaczęła od bohaterskiej dewizy: „I ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu".

W Konstantynopolu, na wysuniętym, dalekim przyczółku sprawy wolności, padł jak żołnierz dorównując w tej chwili Byronowi, który był dlań zawsze wzorem poety-człowieka, poezji wcielonej w życie i życia przemienionego na poezję, a który zginął w powstaniu greckim za wolność ludów. 26 listopada 1855 r. zgasł Mickiewicz, człowiek-pochodnia. Jak nad umierającym, po spełnieniu ciężkiego zadania życiowego, Konradem Wallenrodem, Halban, uosobiona pieśń-pobudka, pochyliła się nad zmarłym poetą muza poezji tyrtejskiej z pociechą:

Nie, ja przeżyję... i ciebie mój synu —
Chcę jeszcze zostać, zamknąć twe powieki
I żyć — ażebym sławę twego czynu
Zachował światu, rozgłosił na wieki.
Obiegę Litwy wsi, zamki i miasta,
Gdzie nie dobiegę, pieśń moja doleci.
Bard dla rycerzy w bitwach a niewiasta
Będzie ją w domu śpiewać dla swych dzieci;
Będzie ją śpiewać i kiedyś w przyszłości
Z tej pieśni wstanie mściciel naszych kości.

Wacław Kubacki

PAWEŁ HOROSZOWSKI

Prawo a publicystyka

W nr 43 „Odrodzenia" zamieścił Jan Kott artykuł „Nieco prawa i ocena czynu". W artykule tym autor polemizuje z Jerzym Andrzejewskim na tematy wkraczające w dziedzinę prawa karnego i stawia Andrzejewskiemu zarzut, że „nie jest dobrym prawnikiem" (a więc: prawnikiem? — ale nie dobrym?). Taki zarzut zobowiązuje Kotta do przeprowadzenia **dobrej** analizy i interpretacji prawniczej.

Ponieważ artykuł Kotta dotyczy bardzo istotnego problemu z dziedziny prawa karnego, uważam za uzasadnione wtrącenie się prawnika do polemiki literackiej. (Niech mi będzie wolno na marginesie zażartować i powiedzieć, że spór kompetencyjny z tego powodu nie powinien wyniknąć: różnicę kompetencji literacko-prawniczej u Kotta równoważy różnica kompetencji prawniczo-literackiej u mnie).

Kott zajmuje się w wymienionym artykule problemem czynów przestępczych i dochodzi do wniosku, że miarodajne dla kwalifikacji przestępstwa są tylko „czyny i skutki czynów". (Pojęcie „czynu" jest u Kotta niejasne. „Czyn" — jak wiemy — zawiera dwie strony: a) zewnętrzną, fizyczną oraz b) psychologiczną. „Czyn" to pewien akt fizyczno-psychiczny. Nie wdając się w głębszą analizę pojęciową, chcę wskazać, że w jednym miejscu tekstu Kott przeciwstawia „czyny" (i skutki czynów) — myślom, pragnieniom i marzeniom. Przez „czyn" rozumie więc Kott w tym miejscu tylko to, co określamy jako zewnętrzną, fizyczną stronę czynu — a więc „czynność" czy „zespół czynności").

Zróbmy przede wszystkim małą dygresję w dziedzinę oceny etycznej czynu.

Kott lęka się, czy — uwzględniając u sprawcy intencje i motywy — „śmierć i bohaterstwo żołnierza niemieckiego, nie zrówna się ze śmiercią i bohaterstwem żołnierza radzieckiego, angielskiego czy polskiego". I dlatego interesują go tylko „skutki" i „konsekwencje czynów".

Kott podchodzi — zdaniem moim — niewłaściwie do zagadnienia oceny etycznej czynu. Jeśli kogoś nazywamy bohaterem, to właśnie z uwagi na stan psychiczny. Nie nazwiemy bohaterem bandyty, który z narażeniem życia wykonuje swój niecny proceder. Nazwiemy zaś bohaterem tego, kto świadomie, z narażeniem życia walczy o ideę godną najwyższego poświęcenia.

Czyn żołnierza armii demokratycznych, i czyn żołnierza armii niemieckiej — są tylko zewnętrznie podobne. Żołnierz demokratyczny walczył w imię ideałów najszczytniejszych, a żołnierz faszystowski — o ujarzmienie, niewolę, ucisk i zagładę innych narodów. I niezależnie od tego, czy przypisujemy sądom wartościującym, etycznym znaczenie bezwzględne, ogólnoludzkie czy tylko względne (a więc prawdziwe, np. wyłącznie dla społeczeństw demokratycznych), to jednak powiedzieć możemy, że Niemiec walczył w imię celów wybitnie nieetycznych, zasługujących na największe potępienie. Kto walczy w imię takich celów, wykazuje najwyżej pewną brawurę, ale mimo to jednak mamy dla niego tę samą pogardę, to samo potępienie i — w konsekwencji (zgodnie ze współczesnymi doktrynami prawa karnego) — tę samą kwalifikację prawną i tę samą (a nawet surowszą jeszcze) karę co dla przestępcy, zabijającego z innych, niskich pobudek czy motywów.

Nie można więc, jak to Kott robi, mówić o „bohaterstwie żołnierza niemieckiego". Bandytów, morderców i podobnych przestępców nie nazywa się mianem bohaterów. Bohater to ktoś, kto ze względów etycznych zasługuje na głęboką cześć i podziw.

Z analizy artykułu Kotta wynikałoby, że intencje sprawcy, motywy, pobudki — w ogóle strona psychologiczna — nie ma znaczenia dla kwalifikacji czynu przestępczego.

Autor nie ukrywa tego, że do takiej konkluzji dochodzi ze względów utylitarnych, oportunistycznych. „Ale bardziej uchwytne i dostępne poznaniu są — powiada — czyny i skutki czynów od myśli, pragnień i marzeń". A więc: skoro mamy trudności w poznaniu stanu psychicznego sprawcy, uwzględniajmy tylko okoliczności zewnętrzne czynu i skutki.

Wnioski tego rodzaju są niezgodne ze współczesną ewolucją prawa karnego, są niezgodne z analizą dogmatyczną i interpretacją przepisów naszej ewolucyjnie nowoczesnej ustawy karnej (z 1932 r.) i innych najbardziej nowoczesnych kodeksów karnych.

Wnioski o lekceważeniu stanu psychicznego sprawcy przestępstwa trącą archaizmem, są nawrotem do prawnej myśli społeczeństw pierwotnych, które nie odróżniały czynów niezawinionych od zawinionych, nieumyślnych od umyślnych. Miarodajny był tylko skutek.

Od takich koncepcyj ewolucja prawa karnego daleko odbiegła. Okolicznościom przedmiotowym czynu, skutkom przypisuje się dziś w zasadzie znaczenie tylko wtedy, jeśli na ich podstawie możemy wnioskować o stanie psychicznym sprawcy. I dlatego samo już usiłowanie jest w zasadzie karane na równi z dokonaniem przestępstwa (art. 24 § 1: „Sąd wymierza karę za usiłowanie w granicach przewidzianych dla danego przestępstwa"). I jeśli istnieją przypadki niekaralności usiłowania (przypadek zabobonu cytowany przez Kotta), to jest to pewna zamierzona niekonsekwencja ustawodawcy wynikająca z jednej z najbardziej zasadniczych przesłanek kodeksu karnego. Tą przesłanką jest okoliczność, którą ustalić można przez dokładną analizę psychologiczną sprawcy, przez stwierdzenie jego charakteru, temperamentu i rozwoju umysłowego — niebezpieczeństwo społeczne sprawcy. I jeśli: „Nie odpowiada za usiłowanie, kto tylko z powodu zabobonu lub ciemnoty wierzył w skuteczność swego działania" (por. § 3 art. 23 k. k.), to tylko dlatego, że sprawca w przypadku tym „nie przedstawia sam takiego niebezpieczeństwa"... (por. Makarewicz: „Kodeks karny z komentarzem", Lwów 1938 sub art. 23 § 3).

Miarodajne dla kwalifikacji czynu są więc przede wszystkim okoliczności subiektywne, psychologiczne. I dlatego: „Nie popełnia przestępstwa, kto dopuszcza się czynu pod wpływem błędu co do okoliczności należącej do istoty czynu"... (art. 20 § 1 k. k.). A więc błąd — moment wyłącznie psychologiczny — decyduje o odpowiedzialności karnej. Czyli, że można popełnić **czyn**, okolicznościami zewnętrznymi **nie** różniący się od przestępstwa, noszący wszelkie pozory zewnętrzne przestępstwa, a jednak nie popełnić przestępstwa z uwagi na pewien fakt natury psychologicznej — błąd.

Nie jest więc kradzieżą zabór cudzej rzeczy w przekonaniu, że się zabiera swoją — wbrew twierdzeniu Kotta, że „będzie kradzieżą zabranie rzeczy cudzej, nawet w przekonaniu, iż zabiera się rzecz własną". Jak wiemy, nikt jeszcze nie odpowiadał za „kradzież" w przypadku, gdy „pod wpływem błędu" zabrał cudzy kapelusz lub parasol z garderoby. I kto śmiałby nazwać takiego człowieka przestępcą? Prawo jest bardziej tolerancyjne od Kotta: nikt bez „intencji" złodziejem nie będzie.

Aby wykluczyć wszelką dyskusję na ten temat, zacytuję orzeczenie Sądu Najwyższego (którego słuszności żaden prawnik jeszcze nie zakwestionował): „Błąd co do tego, czy brane mienie ruchome stanowi cudzą własność, dotyczy okoliczności faktycznej należącej do istoty czynu i całkowicie wyklucza przestępczość działania w myśl § 1 art. 20 k. k." (orzeczenie z 10. I. 1935, zb. nr 328/35).

W analizie przestępstwa kradzieży autor popełnia więc... błąd. Taki sam zresztą jak wtedy, gdy cytuje (nie ściśle!) art. 203 k. k. Artykuł wymieniony przewiduje m. in. karalność dopuszczenia się czynu nierządnego względem osoby poniżej lat 15. Zdaniem Kotta — sprawca podlega karze „choćby był głęboko przekonany, że partner lub partnerka skończyła lat 16". Czy to przestroga dla uwodzicieli (mimo lepszej wiary autora?) czy także... błąd? Interpretacja ustawy jest jedna i brzmi: nie będziemy odpowiadali z art. 203 k. k., grożącego więzieniem do lat 10 — jeśli byliśmy przekonani, że nasza ukochana (albo ukochany) ma 15 lat skończonych i sąd to przekonanie ustali. (Sąd więc ma ustalić okoliczność z życia psychicznego sprawcy).

Próba interpretacji ustawy karnej w tym kierunku, że sąd przy kwalifikacji czynu winien ignorować stan psychiczny sprawcy, jest dziwna, skoro się uwzględni, że Kott zna przypuszczalnie kodeksową konstrukcję winy umyślnej i nieumyślnej. (Tę drugą Kott nawet cytuje. Inna rzecz, że tę instytucję prawniczą par excelence psychologiczną stara się Kott wbrew teorii i praktyce prawniczej, przewekslować na teren „sprawdzalny", „obiektywny").

O winie umyślnej mówimy (formułując lakonicznie) wtedy, gdy się przestępstwa:

1) chce (dolus directus) lub
2) przewiduje i na nie godzi (dolus eventualis).

O winie nieumyślnej zaś mówimy, jeśli się możliwość przestępstwa:

1) przewiduje, ale przypuszcza, że się go uniknie (lekkomyślność) lub
2) nie przewiduje, chociaż można było lub należało przewidzieć (niedbalstwo).

Nikt nie może być karany za zbrodnię (tj. czyn zagrożony karą powyżej lat 5 — a takie niewątpliwie czyny dały Kottowi asumpt do zajęcia się kwestią poruszoną w jego artykule), jeśli nie dokonano czynu umyślnie — chyba, że ustawa (wyjątkowo) postanowi inaczej. A więc sąd musi analizować stan psychiczny sprawcy i od stanu tego uzależniać odpowiedzialność i kwalifikację czynu.

Analizę stanu psychicznego sprawcy musi przeprowadzić nawet sąd specjalny, sądzący za najcięższe przestępstwa, ponieważ „dekret o zbrodniarzach faszystowsko-hitlerowskich nie zna odpowiedzialności za winę „nieumyślną" (Sawicki i Walawski, „Zbiór przepisów specjalnych", „Czytelnik" 1945, str. 13).

W komentarzu swoim Sawicki i Walawski często wskazują, że odpowiada się z dekretu tylko wtedy, jeżeli się świadomie chce określonego czynu. Np. „zdając sobie sprawę z tego, że pokrzywdzony nie będzie mógł dochodzić ochrony swych praw przed sądem, świadomie z tego powodu dokonał obrazy" (1. c. str. 16, podkreślenie moje). Tu momentom subiektywnym wyraźnie przypada decydująca rola. A więc: nie sam „czyn" (czynność) i „skutek" (jak chce Kott) decyduje, lecz „intencje" sprawcy (zamiar).

Aby nie było wątpliwości interpretacyjnych, podają wymienieni komentatorzy przepisów specjalnych przykład, gdy „żona, mając wyłączny zamiar usunięcia kochanki męża, składa na nią doniesienie do władzy policyjnej niemieckiej o kradzież mienia niemieckiego, skutkiem czego ofiara osadzona zostaje w obozie. Jeżeli będzie można ustalić, że zamiarem sprawcy nie było chociażby ewentualne działanie na rękę władzy okupacyjnej, sprawca odpowiadać będzie jedynie z art. 143 k. k., lecz nie z art. 1 dekretu. Oczywiście, stwierdzenie bardzo subtelnej granicy pomiędzy dolus eventualis (tj. rodzajem winy umyślnej — uwaga moja), a lekkomyślnością względnie niedbalstwem (tj. winą nieumyślną — uwaga moja), może być tylko przedmiotem ustaleń sądu orzekającego w każdym konkretnym wypadku z osobna" (por. Sawicki i Walawski, 1. c. str. 7).

Tak samo musi być dolus (zły zamiar — choćby ewentualny), jeżeli chodzi o dekretowe pojęcie znęcania się.

Sawicki i Walawski stale zaznaczają, że odpowiedzialność zachodzi tylko wtedy, „jeżeli oczywiście wedle ustaleń sądu wyrokującego objęta ona była (szkoda społeczna, odczucie prześladowania itd. — uwaga moja) świadomością sprawcy" (1. c., str. 9).

Jeżeli się chce karać za skutek, za następstwa czynu przestępczego nie objęte zamiarem sprawcy, to musi się ustalić, „że sprawca następstwa te przewidywał albo powinien był przewidzieć (art. 15 § 2 k. k.)". (Sawicki i Walawski, 1. c., str. 9). Za sam skutek czynu nie karze się. O poczytaniu czynu, o odpowiedzialności decydują cechy subiektywne, a przede wszystkim zamiar, „intencja".

Nie podałem wyczerpującej analizy artykułu „Nieco prawa i ocena czynu". Można by przytoczyć jeszcze inne kwestie niewłaściwie pod względem prawnym w artykule ujęte. Dla przykładu zacytuję taki passus: „Morderstwo różni się od zabójstwa z premedytacją". Jak wiemy, nauka prawa i komentarze identyfikują oba te pojęcia: morderstwo, to właśnie zabójstwo dokonane z premedytacją. (Chcąc to zdanie swoje uzasadnić, powołuje się Kott na kodeks karny francuski, wyraża się jednak niejasno o stanowisku tej ustawy. Ustawa francuska wyraźnie wskazuje, że zabójstwo („meurtre"), to każde umyślne pozbawienie życia, a morderstwo („assassinat"), to zabójstwo dokonane z premedytacją lub z zasadzki. Por. „Code Pénal" (Dalloz, Paris 1938): „art. 29 — L'homicide commis volontairement est qualifié meurtre" art. 296. Tout meurtre commis avec prémeditation ou de guet-apens, est qualifié assassinat").

Jestem daleki od usiłowania obniżania w czymkolwiek znaczenia publicystyki Kotta. Uważam jednak, że publicystyka nie daje prawa do zbytniej dowolności i swobody w dziedzinie naukowej, a więc i prawno-dogmatycznej. „Dziesięć lat temu — powiada Kott w artykule „Jeszcze o prawie" („Odrodzenie", nr 47) — z prawa uciekłem w literaturę". Kwestia stażu prawniczego Kotta w okresie, gdy z prawa uciekał, nie jest sprawą ważną, było by jednak wskazane, aby przy powrocie w dziedzinę prawa („Teraz z literatury uciekam coraz częściej w prawo" — jak mówi w cytowanym artykule) Kott unikał ...błędów i ich skutków: niezgodności z nauką i wykładnią prawa. Dla dobra ogólnego!

Paweł Horoszowski

DR A. WANDER S. A., KRAKÓW

JULIA HARTWIG

DO WIDZENIA GÓROM

Wołam cię poprzez wąwóz pełen echa
spięty w górze przeskokiem kozła
kiedyś.
Przez pienlącą się wodę strumienia
palce odsłaniam.
Idziesz niosąc świerczek na głowie
znoszony przez wysokość gęstą.
A tu już mała kolejka prycha
jak pokojowy psiak
i od czystości, od chłodu,
od zawrotów krajobrazu na szczycie
rzuci nas w fabryki barwy i ciepła
między łóżka i stoły miasta.

JALU KUREK

DRZEWO DZIECIŃSTWA

Przed trzydziestu laty stał nade mną rozrosły gałęzisty strop jabłoni. Dziś drzewo, pozbawione chałupy, nie owocuje z żalu za oderwanym od niego dzieciństwem człowieka.

Chwyciwszy tę gałąź zieloną, trzymasz mnie za puls. Mnie, uciśniony konar ojczyzny.

Ta góra była wyższa. Niegdyś zdarto z niej żywą skórę, zbudowaną z lasu i pozostało gołe mięso ziemi. Ale przestrzeń, którą teraz wypełniły domy, ciągle jeszcze oddycha powietrzem umarłych drzew. Tu powstała wieś, ubroczona po kolana w pięknie i świństwie, ale spóźniona o sto lat właśnie przez owo zamierzchłe powietrze lasu.

Jedno serce moje pośrodku wsi nie spóźnia się w zgiełku. Dołem bije swój rytm niezależny, zgodny ze środkiem ziemi.

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

ŚMIERĆ OPTOCHAN

Sześć miesięcy już Rustam na froncie,
Sześć miesięcy ni listu ni wieści,
Sześć miesięcy jest pusta pijałka,
W której pił z młodą żoną herbatę.
Zakwitają morele w ogrodzie,
Przekwitają morele w ogrodzie,
Więdnie Optochan — żona Rustama,
Czeka listu jak ptaka barwnego.
Góry niosą nad cichą doliną
Siwy śnieg, szepczą w dole strumienie,
Ale ptak, ale list nie przyleciał
Od Rustama do Optochan młodej.
Więdnie młoda, choruje. Suchoty
Jak złe węże wżerają się w płuca
I jak wielbłąd poważny i czarny
Czarna śmierć ku niej zbliża się zwolna.
Nie wołała rodzina lekarza,
Lecz wołała znachorki wiedźmowe.
Niosą zioła znachorki do chorej,
Zioła rwane przy świetle księżyca.
Palą zioła znachorki wiedźmowe,
Okadzają ich dymem Optochan
I mamroczą zaklęcia pradawne
Przeciw śmierci i przeciw urokom.
Ale Optochan gaśnie jak róża,
Gasicielką — jesienią zdmuchnięta.
Śpiewa słowik czerwcowy, a ona,
Wbrew tej pieśni o życiu, umiera.
Leży w wielkiej wysokiej komnacie.
Kołdry piętrzą się tam aż pod sufit,
Stoją skrzynie uzbeckie malowne,
Smukłe dzbany źródlaną śnią wodę,
A przed domem ta woda źródlana,
Której dzbany te nie uwięziły
Szumi, szemrze, szeleszcze i świeci,
Jak to życie, co już przeminęło.

Była noc. Spałem w mojej kibitce.
Sen warszawski otulał mnie pyłem.
Śpiewał słowik, a mnie się zdawało,
Że to gwiżdże ulicznik warszawski.
Krótko spałem, gdy wreszcie mnie zbudził
Wielki lament, bijący żałobą
W gwiazdy obce boleści człowieczej.
Zrozumiałem — to Optochan zmarła.
A na przekór tej śmierci samotnej
Śpiewał słowik tej nocy wiosennej
I tych róż i tych gwiazd i miesiąca
Wieczny tłumacz, co wiecznie na trele
Noc wiosenną i róże tłumaczy.

Uzbekistan, Fergana, 1944

EUGENIUSZ ZIELIŃSKI

ŁUGA

Mgłami zawiana dymi wieś mleczna,
pod progiem chowa szczątek bagnetu.
Izba w niej czysta biało-słoneczna
z wyważonymi drzwiami niestety.

A wiatr niezbrojny, a badyl bosy,
w kopcu pod liśćmi serce nie tętni
i bujne krzewią się wniebogłosy
— pusto, żałośnie, wcale nie pięknie.

Tę wieś — tak jakoś zwie się z czarłowska
smutek jesienią jak ługiem zatruł.
Ziemi skosztować? Dumna i gorzka,
poprzestrzelana ojczyzna wiatru.

Krew. Krwią pałały różowe wrzosy,
rosą spłakała się łąka siwo.
Stamtąd to, stamtąd w zachwycie niosę
w liść owiniętą kulę nieżywą.

KSAWERY PRUSZYŃSKI

Dzieje emigracji londyńskiej

Irański odmarsz *)

Po przybyciu do Polski byłem wielokrotnie zapytywany o dzieje naszej emigracji, o przyczyny, dla których zajęła takie czy inne stanowisko, o wypadki, które stamtąd, z zagranicy, pokierowały losami kraju, o politykę wreszcie, której kraj zawdzięcza swój obecny stan. Udzielałem obszernie odpowiedzi, jako że byłem bliski, czasem nawet bardzo bliski wielu tym wydarzeniom i należałem do współpracowników śp. generała Sikorskiego. Na wiele spraw tamtych patrzyłem już wtedy jako widz i historyk, zasięgałem zdania ludzi, którzy mieli wpływ największy i starałem się odtworzyć prawdę tych pięciu brzemiennych w skutki lat.

Wiem, że moje dwa pierwsze artykuły o emigracji, drukowane na gościnnych łamach „Odrodzenia", wywołały sporo niedrukowanych komentarzy. Często polemizowano z tezami, których nie wypowiadałem; toteż, rzecz prosta, przed tego rodzaju zarzutami w ogóle nie myślę się bronić. Bardziej uzasadnione były dwa inne zarzuty, które mnie nieraz doszły. Jeden, że burzę „mit londyński", drugi, że piorę publicznie brudy emigracyjne, na co „jeszcze nie czas".

Otóż muszę powiedzieć, że przyjmuję na siebie w pełni, i poczytuję sobie za zasługę publicystyczną, „burzenie londyńskiego mitu". Tak jest, staram się go zburzyć. Uważam ten mit bowiem za niezwykle szkodliwy dla Polski. W przeszłości to ów właśnie mit nie pozwolił szukać wcześnie i w lepszych okolicznościach dróg do porozumienia z Rosją, utwierdzał w społeczeństwie mylne, fałszywe, a w następstwach zgubne przekonanie, że wyzwolenie Polski nadejdzie zza mórz i oceanów, odrywał Polskę od jej geopolitycznej rzeczywistości. W obecnym czasie mit londyński, — to mit czekania na nową wojnę, to mit wypatrywania interwencji, to mit odrywający od odbudowy poważne siły narodu. Zresztą nie walczyłem z mitem. Spełniałem tylko naczelny obowiązek uczciwego publicysty, to jest mówiłem prawdę, nie koloryzowałem, nie pudrowałem, nie łudziłem. Niestety, wiem dobrze, jak wiele zła przyszło Polsce w tej wojnie z tego, że krajowi nie mówiono prawdy.

Sumienny czytelnik artykułów moich przyzna, że unikałem wyzwisk, połajanek i tego karczemno-wiecowego tonu, który prawdzie nie odpowiada. Gdyby moi krytycy wiedzieli, ile brudów kryło w sobie życie polityczne naszego Londynu, to by przyznali, że z tych brudów oddaję do „publicznej pralni" tylko **małą ogromnie część** — tyle tylko, ile potrzeba dla pełnego zrozumienia sytuacji. A poczytuję sobie za obowiązek publicystyczny, czy to komu miłe czy niewygodne, przedstawienia tej części naszego życia **jak najściślej i jak najwierniej.** Na ciężkich błędach, już popełnionych i dalej popełnianych przez polski „Londyn" opiera się bowiem niejedno w naszym stanie rzeczy i śmiem twierdzić, że gdyby tych błędów nie popełniono, to wiele najważniejszych spraw przedstawiałoby się dzisiaj **inaczej.** Śmiem także twierdzić, że jeśli „mit Londynu" trwać będzie nadal, to sprowadzi to na nasz nieszczęśliwy naród tak tragiczne skutki, że wobec nich zbledną nawet łuny warszawskiego powstania. Być może, że samotny publicysta nie zapobiegnie temu; ale przynajmniej niech nie obarczy się straszliwą odpowiedzialnością, którą tak lekkomyślnie i tak nieraz zbrodniczo przyjmują na siebie ci wszyscy, którzy dziś krzewieniem londyńskiego mitu w andersowskim wydaniu torują drogę klęsce.

•

Pisałem uprzednio o tym, jak na emigracji, paryskiej zrazu, londyńskiej potem, coraz więcej wpływu uzyskiwały czynniki sanacyjno-nacjonalistyczne, Sikorskiemu wrogie, Zachodowi obce, nie mające żadnej możliwości dogadania się z tym Zachodem, rozchodzące się z nim coraz bardziej i bardziej. Sikorskiego chciały utrącić stale. Jeszcze we wrześniu 1939, prezydent Raczkiewicz obejmując swój wysoki urząd chciał powołać na premiera Augusta Zaleskiego, byłego ministra w okresie pomajowym, i dopiero bardzo gwałtowne sprzeciwy demokratycznej opozycji polskiej (Herman Liebermann, Stanisław Stroński i inni) przekreśliły tę pierwszą próbę. Nieco później, w momencie wyjazdu z Francji, pod nieobecność Sikorskiego w siedzibie rządu polskiego, Raczkiewicz i Zaleski zanegocjowali wyjazd Polaków do Anglii tak, że ani Sikorski, ani armia nie była w tym przewidziana. Powrót Sikorskiego z frontu w Wogezach i przylot samolotu brytyjskiego po Sikorskiego z Londynu pokrzyżował to wszystko raz jeszcze. W kilka tygodni potem prezydent Raczkiewicz **udzielił formalnie dymisji** Sikorskiemu jako premierowi i dopiero bardzo energiczna postawa stronnictw politycznych i kół wojskowych odwróciła ten stan rzeczy raz jeden jeszcze. Może w świetle tych paru faktów unaocznimy sobie jak wyglądała naprawdę „współpraca" tych dwóch ludzi?

Przez cały rok 1940—41 sytuacja nie ulegała większym zmianom. Sikorski coraz bardziej się cofał wobec swych przeciwników, ci coraz liczniej obejmowali ważne posterunki w ministerstwie spraw zagranicznych, w sztabie, w biurach konspiracji wojskowej. Cały ten czas trwał obstrzał pomniejszych pozycyj, główna — Sikorski — była pozostawiona we względnym spokoju. Najwyraźniej czekano na okazję do wystąpienia z nowym szturmem, ale okazji tej brakło, a poprzednie niepowodzenia nakazywały ostrożność. Okazji nie miało braknąć zbyt długo. 22 czerwca 1941 roku Niemcy wtargnęły do Rosji. Nastąpiła wojna, w której Wielka Brytania, sojusznik Polski, znalazła się w aliansie z Rosją.

Całe zagadnienie rosyjskie, w przyszłości najważniejsze, było do tej pory traktowane przez emigrację jako trzecioplanowe. Przyczyniała się do tego przede wszystkim walka z Niemcami, przyczyniła później klęska Francji, kiedy losy ostatniego bastionu wolności na Zachodzie zdawały się zagrożone. Wreszcie przyczyniała się do tego właściwa opinii publicznej polskiej ochota odsuwania spraw zawiłych i trudnych w jakąś nieokreśloną przyszłość, nie najmniej wreszcie opinia tak zwanych polskich rzeczoznawców i w ministerstwie spraw zagranicznych i w sztabie. Ci pseudorzeczoznawcy, a niewątpliwi wrogowie Rosji, przeceniali jej wewnętrzne trudności, a nie doceniali osiągnięć. Widzieli w Rosji nędzę, ale nie dostrzegali, na przykład, gigantycznej rozbudowy przemysłu, ani jego roli w przyszłej wojnie. Tym skwapliwiej postawili na rychły upadek Rosji.

Sikorskiego polityka była całkiem inna. Nie dlatego, żeby był doktrynalnym rusofilem, a tym mniej sympatykiem komunizmu. Pochodząc z Galicji nie miał jednak antyrosyjskich urazów, tak częstej pozostałości u Polaków z byłego rosyjskiego zaboru, a będąc człowiekiem umiarkowanych poglądów politycznych, miał głowę zbyt otwartą, by nie dostrzegać rewolucyjnych, a niewątpliwych zdobyczy. Armię Czerwoną cenił, jak temu dał wyraz w licznych artykułach grubo przed wojną, wreszcie jako inżynier z wykształcenia doceniał to materialne znaczenie, jakie daje obszar, bogactwa naturalne, obronność i wielkość Rosji. Był wreszcie politykiem myślącym konsekwentnie (jak rzadko myślą Polacy) i wiedział, że w razie klęski Rosji, los Anglii — nie mówiąc już o Polsce — jest przesądzony. Niemcy opanowawszy niewyczerpane zasoby rosyjskie, wprzęgnąwszy rosyjską naftę, kruszce, surowce i ludność w swój rydwan bojowy, otwarłszy sobie drogi na Palestynę i Indie, byłyby naprawdę niezwyciężone. Tak, klęska Rosji byłaby klęską Polski. Gdy naiwni politycy z emeszetu łudzili się, że nastanie „nowy rok 1918", to jest, że „wykrwawią się" i Niemcy i Rosja, po czym nastąpi „remisowy wynik" i Polska wyjdzie naraz na ulice miast jak owego chmurnego listopada 1918, Sikorski potrząsał głową. Wiedział dobrze, że rzadko taka partia kończy się remisowo. A zresztą! Czy mając nieuregulowane stosunki ze swymi wielkimi sąsiadami, Polska będzie mogła **długo** się ostać? Czy nie powtórzy się raczej w końcu... nowy rok 1939?

Tak daleko, by przewidywać cały ogrom roli, jaką Rosja miała odegrać w tej wojnie, odpierając stalowe zagony pod Moskwą, rozwalając je pod Stalingradem i przerzucając pożogę wojenną aż w serce Niemiec, Sikorski niewątpliwie nie szedł. Ale widział bardzo wyraźnie potrzebę zmiany stosunków polsko-rosyjskich, przebudowania ich w przyszłości i niebawem w głośnej radiowej mowie wyciągnął rękę do zgody oraz rozpoczął rozmowy z sowieckim ambasadorem w Londynie, Majskim, w sprawie paktu polsko-rosyjskiego. Powodem do nowego gwałtownego szturmu na Sikorskiego stał się właśnie ten pakt.

Zarzuty formalne, wysunięte przeciwko Sikorskiemu, nie wytrzymywały krytyki. Zarzucano mu, że prowadził rokowania „pośpiesznie" i zawarł pakt „przedwcześnie". Rokowania trwały dwadzieścia sześć dni — niemal cały lipiec 1941 — co nie było tak mało zważywszy zwłaszcza, że zawarcie paktu czechosłowacko-rosyjskiego zabrało połowę tego czasu, choć i tam istniała sporna kwestia Rusi Przykarpackiej. (Czesi są podobno dobrymi dyplomatami). Zarzucano dalej, że omawiając sprawę wypuszczenia na wolność Polaków wywiezionych czy aresztowanych użyto wyrazu „amnestia"; Zygmunt Nowakowski wygłosił nawet pogląd, że gdyby Polacy w Rosji wiedzieli o tym faux pas, na pewno by nie przyjęli tej wolności... Wreszcie najwięcej zarzutów wywoływała niewyjaśniona i niezałatwiona sprawa granic. Pakt nie mówił wyraźnie, że wraca się do granic traktatu ryskiego — i o to właśnie miała opozycja najwięcej pretensji. Sikorski sprzedał za miskę soczewicy Lwów i Wilno, — huczało w kawiarniach.

Sikorski — wiedziano o tym dobrze — nie sprzedawał niczego. Po prostu w sprawie granic natrafił zdawna, bo jeszcze w 1939 roku, na nader **miękkie**, że tak oględnie powiemy, stanowisko naszych angielskich sojuszników. Rozmowy z Majskim wywołały w nim wrażenie, że Rosja w sprawach granic jest trudna do ustępstw, ale na pewne ustępstwa idzie, — oczywiście, jeżeli i Polska odstępuje ze swej strony od granicy traktatu ryskiego. (Najtrudniej przedstawiała się sprawa, jeśli chodziło o wileńską północ, najłatwiej, gdy była mowa o małopolskim południu). Opinia polska na Zachodzie została jednak zdobyta szybko dla hasła „ani piędzi ziemi!", a także drugiego: „żadnych ustępstw, żadnych targów". Sam się do tych rozmów nie kwapił. Dał się skłonić do poglądu jednego ze swych współpracowników, że **przede wszystkim** trzeba wytworzyć **inny klimat** dla polsko-rosyjskich rozmów, odmienny od klimatu nieszczęsnej dalekiej przeszłości, jak i niedawnej, najbliższej, z lat 1939 i następnych. Dopiero w tym zmienionym klimacie odtajałyby wzajemne lody. Jakiż to miał być klimat? Klimatem tym miała być wspólna walka z Niemcami. Po raz pierwszy w historii w wielkim pochodzie na Moskwę miało zabraknąć Polaków, tej przedniej straży napoleońskiej; po raz pierwszy, od bardzo dawna chyba, polski oręż po społu z rosyjskim miał walczyć w jednej sprawie. Czyż to nie wywoła przełomu? Czy widok wielkiej polskiej armii, bijącej się dobrowolnie i ochotniczo po stronie Rosji, choć złożonej z dawnych wygnańców i więźniów nie odmieni niczego? Zapewne odmieni. Wtedy, w nadedniu wspólnych bojów drażliwe zawsze sprawy granic dadzą się załatwić lepiej niż teraz, w dalekim Londynie, wśród wspomnień niezabliźnionych ran.

Armia ta istotnie zaczęła powstawać i widok tego powstawania, owej jesieni 1941 roku, był naprawdę wstrząsający. Do obozów nadwołżańskich ściągały cienie i mary na jedno wezwanie swego rządu z jednym pragnieniem — jak najprędszej walki. Pragnąc bliżej poznać tę armię i pragnąc nawiązać bezpośrednie stosunki z rządzącymi w Rosji, Sikorski przybył w grudniu 1941 roku do Moskwy. Ten akt miał świadczyć wobec Polski, że Rosja jest naprawdę sojusznikiem, że ze strony Polaków w kraju winna iść jak najofiarniejsza współpraca, wbrew tym, co — jak Sosnkowski i Zaleski — wystąpili z rządu londyńskiego wobec samego faktu zawarcia paktu z Rosją. Na Kremlu, w nocy z 3 na 4 grudnia, po rozmowach i uroczystym przyjęciu, podpisano akt polsko-sowieckiej przyjaźni. Do decydujących rozmów i wtedy jednakowoż nie doszło. Czy obstrzał londyńskiej opozycji, ostro potępiającej ten moskiewski wyjazd, był tak silny, że podziałał na Sikorskiego? Czy myślał, że jeszcze stosowna pora nie nadeszła? Jest to bardzo możliwe. Tworzona w Rosji armia polska nie weszła jeszcze była do boju. W rozmowach ze Stalinem Sikorski oświadczył, że chce ją posłać do walki jako całość, nie poszczególnymi dywizjami, że zrobi to na wiosnę i sam wtedy przyjedzie objąć nad nią dowództwo w boju. Stalin się zgodził.

Do owego wiosennego przyjazdu nigdy nie miało dojść, doszło za to, niestety, do wydarzenia, które przekreśliło go zupełnie i uczyniło bezwartościowym i nieaktualnym. Oto w dwóch ratach, — marcowej i lipcowej — nastąpiła ewakuacja polskiej armii z Rosji. Jak do niej doszło? Niestety, wspomnienia niedawnych, a niezwykle ciężkich przeżyć, zaciążyły tragicznie nad nastrojami tworzonego tam wojska, a — co gorsza — kierownicze czynniki tej armii nie umiały, czasem może i nie chciały, wznieść się ponad ten ogrom do wyżyn historycznego zadania, jakie na tę armię spadało. Nastroje psuły się coraz bardziej, ulegały poprawie coraz mniej, data wymarszu na front odsuwała się także, wreszcie, w rozmowie dowódcy tych wojsk, generała Andersa ze Stalinem zapadła decyzja wymarszu z Rosji do Persji. Wielokrotnie w ciągu ostatnich lat generał Anders przyjmował na siebie i odpowiedzialność (i to, co uważał za zasługę) takiej właśnie decyzji. „To JA wyprowadziłem was z Rosji" — mawiał do swych żołnierzy. Nie mamy powodu mu nie wierzyć.

Mało bardzo Polaków zdawało sobie sprawę, jak wielkie znaczenie miała posiadać ta właśnie decyzja. W momencie, kiedy odległa od Rosji Francja posłała dla obrony Moskwy jeden ze swych nielicznych dywizjonów lotniczych, Polska wyprowadzała te dywizje, które powstały na ziemi rosyjskiej, o których powiedziano wielokrotnie i uroczyście, że na tej ziemi będą się bić. Jeśli w łunie wspólnej walki polsko-rosyjskiej miał się wytworzyć lepszy klimat do porozumienia, to w cieniu tego irańskiego odmarszu pogłębił się tylko uraz. Na emigracji z tymi ludźmi przybył materiał ludzki niezawodnie patriotyczny i dzielny, ale przeżarty urazami w stosunku do Rosji, ku której tak się właśnie zbliżały mocarstwa zachodnie i znający lub rozumiejący Zachód znacznie mniej, niż poprzednie fale Po-

*) Por. „Rzecz działa się we Francji..." w nr. 44 i „Bieg na przełaj" w nr. 45 „Odrodzenia".

laków. Przeciwnicy Sikorskiego mieli otrzymać nowe posiłki. W historii polskiej wpisali się ci ludzie nieśmiertelnymi, chlubnymi i całkowicie bezpłodnymi samosierrami Monte Cassina i Ancony. Dziś, gdy w pierwszą rocznicę walk o Monte Cassino w rzędzie sztandarów wywieszonych na ruinach tego klasztoru zabrakło jedynie flagi polskiej, kiedy Włosi głośno domagają się wyjścia Polaków, możemy, niestety, ku rozżaleniu może przeczulonych, ale ku nauce następnych pokoleń, mówić śmiało o tragicznej **bezpłodności** tych bohaterskich walk apenińskich. Było by może lepiej, gdyby ginęli pod Lenino; a na pewno było by dziś w Polsce jeszcze gorzej, gdyby wśród tylu walk polskich tej wojny nie było ani jednej stoczonej przy boku Rosji

W ten właśnie sposób wiosenna podróż generała Sikorskiego nie doszła do skutku i stała się bezprzedmiotowa. Blady, anemiczny pakt podpisywany w Londynie nie napłynął ożywczą krwią. Nim protest katyński miał przynieść mu cios śmiertelny, już porozumienie polsko-rosyjskie było podcięte. Albowiem prawdziwe sojusze nie wyrastają nigdy z bankietów i dni pogodnych, z przemówień i z powodzenia, ale przeciwnie, wyrastają z dni ciężkich, razem przeżytych, ze wspólnych walk, z krwi przelewanej wspólnie, jak tego chciał, ale nie umiał wymóc Sikorski, jak to udaremnił generał Anders. „Dokonałem historycznego czynu", — chwalił się ponoć ten generał — wyprowadziłem moje wojsko z Rosji". Czyn był niewątpliwie historyczny. Zaciążył w istocie na historii. Ciąży dziś jeszcze nad każdym naszym tu w kraju dniem.

Ksawery Pruszyński

O postępowości w literaturze

„Spór na temat, czy wielka sztuka jest z natury swej także ideologicznie postępowa — zdaje się — rozstrzygnięto pozytywnie". — oświadczył Julian Przyboś na ogólnopolskim zjeździe literatów w Krakowie; zdanie, które w olbrzymim skrócie ujmuje wyniki wielomiesięcznej dyskusji. Będąc jego zasadniczym zwolennikiem uważam, że wymaga ono — ze względu na swą wagę — uzupełnień i wyjaśnień. W swej obecnej bowiem, dość ogólnikowej formie mogłoby ono wywołać pewne sprzeciwy, których niesposób rozstrzygnąć bez dyskusji. Czyż bowiem dotychczasowe doświadczenia historyczno-literackie nie zdają się uczyć nas, że artyści — zarówno postępowych, reakcyjnych, jak i nijakich przekonań politycznych — stwarzali dzieła doskonałe. Chateaubriand i Balzac we Francji, Krasiński u nas — czyż nie byli świadomymi ideologami reakcji. Oczywiście, „Ludzka" i „Nieboska" komedie odzwierciedlają — wbrew gorszej woli autorów — rzeczywisty proces historyczny. Twórczość ich jest zatem postępowa obiektywnie — wbrew ich wiedzy i ideologii. Przytoczone sformułowanie powinnoby raczej brzmieć: „Sztuka wielka jest z natury swej także obiektywnie (nie zaś ideologicznie) postępowa".

Lecz nie koniec na tym. W ten sposób załatwiliśmy bowiem tylko Balzaka czy Krasińskiego; lecz nie Chateaubrianda. Ten bowiem w żadnym sensie — ideologicznym czy obiektywnym, świadomym czy nieświadomym — pisarzem postępowym nie był. Wyrażał on jawnie i bezwstydnie ideologię epoki Restauracji, reakcji monarchicznej przeciw zdobyczom Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Twórczość tego wstecznika nie mogłaby się ostać, gdyby ją oceniać miarą jej postępowości; podobnie twórczość parnasistów i symbolistów francuskich, Herédii, Mallarmégo, Valéry'ego, u nas Leśmiana, wszystkich t. zw. czystych poetów, którzy, umieszczeni pomiędzy dwiema barykadami, świadomie nie chcieli stanąć na żadnej. Aby zagadnienie to rozstrzygnąć, należy przyjąć dwojakie kryterium oceny: obok wewnętrznej doskonałości estetycznej wartość ludzką czyli — by użyć popularnego dziś wyrażenia — humanistyczną. Tej zaś wymienieni pisarze nie osiągnęli. Duchowy pokarm niewielu smakoszy, byli oni tylko artystycznie, lecz nie po ludzku doskonali, nigdy — wielcy. Zbyt wyjątkowy charakter ich dzieł sprawił, że nie mogli oni zdobyć owej popularności, która jedynie gwarantuje wielkość. Postępowość bowiem w swej istocie oznacza popularność w ciągu wieków, zgodność z nurtem historii, z faktycznymi dążeniami mas. Są to wartości identyczne i odwracalne, różne nazwy tego samego pojęcia. Wziętość artysty poprzez stulecia dowodzi, że wniesione przezeń wartości były widocznie tego rodzaju, iż mogły zakorzenić się w dziejach człowieczeństwa. Oczywiście, ocena taka jest możliwa ex post, z perspektywy wieków. Krytyk nie może zatem osądzić wielkości współczesnego mu dzieła lecz tylko stwierdzić jego artystyczną doskonałość. Przyszłe zaś jego losy może on tylko z większą lub mniejszą trafnością przepowiadać lub — o nie walczyć. Tu kończy się jego rola stwierdzająca; zaczyna — bojowa.

Proponowane zatem przeze mnie ostateczne sformułowanie wymienionego zdania brzmiałoby: „sztuka wielka jest z natury swej także obiektywnie postępowa; w przeciwnym razie może tylko rościć pretensje do czysto artystowskiego wykończenia, nigdy zaś do szerszych humanistycznych walorów".

Artur Sandauer

HENRYK BATOWSKI

„Zjednoczeni Słowianie"

Zbliża się 120-ta rocznica ruchu zbrojnego „dekabrystów". Historycy rosyjscy uczcili już setną rocznicę w r. 1925 wydaniem okazałej kolekcji materiałów źródłowych z niedostępnych przedtem archiwów carskich — „Wosstanije diekabristow", Leningrad 1925, 8 tomów. Po wydaniu tej kolekcji i kilku monografiach, zapewne już niewiele można się spodziewać nowego. Setna dwudziesta rocznica tego ruchu każe przypomnieć w każdym razie o jednym z jego składników, o Towarzystwie Zjednoczonych Słowian. Dziś, gdy zbliżenie i współpraca narodów słowiańskich na nowych podstawach tak bardzo są aktualne i tak silnie przeniknęły społeczeństwa słowiańskie, warto przypomnieć sobie, jakich mieliśmy poprzedników. Zwłaszcza, że w tym wypadku chodzi o poprzedników tak sympatycznych i tak w niejednym względzie bliskich duchowi epoki dzisiejszej.

Towarzystwo Zjednoczonych Słowian (Obszczestwo Sojedinionnych Sławian) powstało po r. 1820, na Ukrainie i w południowej Rosji. Zorganizowali je dwaj działacze rosyjscy, bracia Borisowowie, Piotr i Andrzej, wraz z pochodzącym z Wołynia Polakiem, Julianem Lublińskim. Towarzystwo składało się głównie z oficerów niższych stopni, — w ostatnim swym stadium istnienia: penzeńskiego pułku piechoty i konnych rot pierwszej brygady grenadierów. Silnie zaznaczał się obok Rosjan element ukraiński, a także polski. Stowarzyszenie to weszło w kontakt z tzw. „Towarzystwem Południowym", które wespół z „Północnym" przygotowywało przewrót w Rosji w ostatnich latach rządów Aleksandra I. Wskutek wykrycia spisku i porażki zbuntowanych oddziałów, także „Zjednoczeni Słowianie" spotkać się musieli z bezwzględną sprawiedliwością carską.

Ogłoszony w r. 1826 na rozkaz Mikołaja I drukiem raport komisji śledczej o spisku przyniósł pierwsze szczegóły o tym stowarzyszeniu. Uzupełnione późniejszymi publikacjami, zwłaszcza wydanymi po pierwszej rewolucji rosyjskiej, a potem nowymi, już w ZSRR, w tym monografią M. Nieczkinej „Obszczestwo Sojedinionnych Sławian", Moskwa—Leningrad 1927, dane owe pozwalają nam wglądnąć w szczerą orientację słowiańską skromnych oficerów najniższych stopni, kancelistów i innych „szarych ludzi" ówczesnej prowincji rosyjskiej. Rzec można, że ta orientacja była naprawdę wyrazem uczuć mas, na pewno nie była obliczana na efekt i nie była tylko jednym więcej przemijającym składnikiem nastrojów epoki romantycznej. Poznał się na niej już Mickiewicz i w bardzo sympatyczny sposób mówił o niej do swych słuchaczy w Collège de France: „Pod koniec panowania cesarza Aleksandra, ku wielkiemu zdumieniu ministrów rosyjskich i kierowników polityki polskiej po raz pierwszy, jak historia zna nazwiska tych narodów, Polacy i Rosjanie zostają podchwyceni na zmowie z sobą, na knowaniu spisku w jednym, chociaż nieokreślonym wyrazie i może różnie pojmowanym celu. Ukazało się wtedy po raz pierwszy godło zjednoczenia Słowiańszczyzny: pieczęć o dwunastu sztęplach wyobrażających dwanaście szczepów słowiańskich. Komisja śledcza wzruszała ramionami i śmiała się z tego emblematu, biegły jej reporter żartował z niego; a przecież już krążyły pomiędzy publicznością pisma i książki, mogące objaśnić, co znaczył, bo nie tylko w poezji, ale i w innych gałęziach literatury objawiał się ten sam popęd ku zjednoczeniu" (Rok II, wykład I z dnia 14 grudnia 1841).

Mickiewicz opierał tu swoje wiadomości na wspomnianym raporcie komisji śledczej, dobrze zapamiętawszy przy tym tylko część szczegółów. Chodzi jednak o rzecz samą: o fakt złączenia się Polaków i Rosjan — na Ukrainie, którą poeta w innym miejscu określa jako właśnie pomost zbliżenia między obu narodami — we wspólnym działaniu dla „polepszenia bytu ludów słowiańskich". To Mickiewicz oddał wiernie i jemu też należy się zasługa przedstawienia Europie po raz pierwszy ideologii braterstwa słowiańskiego, wspólnie kierowanej przez Polaków i Rosjan.

Jak zaś przedstawiały się w rzeczywistości owe szczegóły o pieczęci, o dwunastu szczepach słowiańskich itd.?

Pieczęć była w istocie ośmiokątna i miała wyobrażać tyleż ludów, „plemion". słowiańskich, przy czym nieuczeni podporucznicy i chorążowie małych garnizonów na Ukrainie zaliczali do tej liczby także Węgrów, za to nic nie wiedząc o istnieniu Bułgarów (tych ostatnich dopiero „odkrył" światu w kilka lat później Karpatorus Wenelin). Ponadto na pieczęci stowarzyszenia widniały także cztery kotwice, mające oznaczać cztery morza słowiańskie: Bałtyk, Morze Czarne, Białe i Adriatyk.

Przyczyną zaś sympatycznego stosunku Mickiewicza do stowarzyszenia i zarazem powodem do „żartów" komisji śledczej była ideologia tych prostych, nieuczonych, ale gorąco czujących Słowian, przedstawiona w „Katechiźmie Słowianina". Przeczytajmy kilka najważniejszych „przykazań" tego „Katechizmu".

— Nie pragnij mieć niewolników, skoro sam niewolnikiem być nie chcesz.

— Prostota, trzeźwość i skromność — te trzy cnoty zapewnią ci spokój.

— Nie pragnij więcej niż masz, a będziesz niezależny.

— Szanuj nauki, sztuki i rzemiosła. Gdy odnosić się będziesz do nich z miłością i entuzjazmem, zdobędziesz szacunek towarzyszy swoich.

— Za złego ducha uważać będziesz ograniczoność wraz z jej dziećmi: pychą, zarozumiałością i fanatyzmem.

— Będziesz szanował wszystkie wyznania i zwyczaje innych narodów, ale korzystać będziesz tylko z dobrych.

— Staraj się usuwać wszelkie przesądy, a zwłaszcza odnoszące się do różności warstw społecznych: wtedy staniesz się człowiekiem, gdy w drugim uznasz człowieka.

— Jesteś Słowianinem, a na ziemi swojej przy brzegach mórz ją okrążających, wystawisz cztery floty: czarnomorską, bałtycką, adriatycką i „lodowatą". W środku swej ziemi wzniesiesz gród, a w nim na tronie posadzisz boginię oświecenia. Stąd otrzymywać będziesz sprawiedliwość, której winieneś się poddawać, gdyż ona nie zejdzie z drogi przez ciebie nakreślonej.

— W portach twoich, Słowianinie, kwitnąć będzie handel i siła morska.

— Jeśli pragniesz osiągnąć to wszystko, połącz się ze swoimi braćmi, od których oddaliła cię nieświadomość twoich przodków.

Naiwny, lecz bardzo szlachetny ton tych „przykazań" nader dodatnio świadczy o jego twórcach, braciach Borisowach i Polaku Lublińskim. Zwracają uwagę hasła równości społecznej, cześć dla oświaty, dążność do udoskonalenia się wewnętrznego. A z gospodarczych i politycznych haseł uderza jedyny właściwie konkretny punkt tego rodzaju: podkreślenie ważności mórz, portów wraz z handlem morskim i silnej floty.

Zachowane zapiski komisji śledczej i niektóre ogłoszone później materiały mówią nam jeszcze więcej. Oto dowiadujemy się, że stowarzyszenie zalecało swym członkom poświęcić życie dla wyzwolenia wszystkich narodów słowiańskich spod absolutyzmu i dla wprowadzenia zasad wolności, równości i braterstwa między narodami słowiańskimi, po usunięciu istniejących między niektórymi z nich sporów. Granice każdego z narodów słowiańskich miały być ściśle określone, a rządy miały być demokratyczne. Poszczególne państwa słowiańskie miały być połączone jakimś węzłem wspólnoty w stosunku do świata niesłowiańskiego. Szczególną wagę przydawano na debatach w stowarzyszeniu kwestiom gospodarczym, zwłaszcza rozwojowi przemysłu.

Wyznawcy tej pięknej, a jak widzimy nie pomijającej także momentów ekonomicznych ideologii, nie byli bynajmniej marzycielami lękającymi się czynu. Właśnie pierwszy punkt „Katechizmu" mówił: „Nie polegaj na nikim innym, jak na swych przyjaciołach i na swej broni". Jeden z członków stowarzyszenia, Ukrainiec Horbaczewśkyj, pisze w swych wspomnieniach, że na debatach stwierdzano: „wolności nie zdobywa się łzami ani złotem, lecz krwią".

Marzenia i dążenia „Zjednoczonych Słowian" rozwiały się z klęską spisku dekabrystów w 1825—26 roku na czas długi. Ale nie zaginęły bez śladu. Szlachetna ideologia współpracy słowiańskiej w duchu istotnego braterstwa, równości i szacunku wzajemnego, w duchu oświaty i tolerancji, znalazła, znajduje i znajdować będzie zawsze wyznawców. Dziś ideologii tej służą wszystkie społeczeństwa słowiańskie. Warto pamiętać, że jedno ze sformułowań tej ideologii powstało przed 120 laty we współpracy Polaków i Rosjan.

Henryk Batowski

Wystawa obrazów, tkanin i porcelany

w krakowskim Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych

W dniu 18 b. m. otwarto w salach krakowskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych cztery różne wystawy, mianowicie: wystawy zbiorowe malarzy **Józefa Mehoffera** i **Jana Książka**, wystawę tkanin **Heleny** i **Stefana Gałkowskich** oraz porcelany ćmielowskiej. Wobec szczupłości miejsca przeznaczonego na recenzję trzeba zwrócić uwagę przede wszystkim na zjawiska w naszej sztuce nowe, do tej chwili nie omawiane, do jakich należą tkaniny Gałkowskich. Pobieżniej zaś wypadnie scharakteryzować pokazy inne.

Wystawa prac prof. J. Mehoffera, złożona z ponad pięćdziesięciu dzieł, portretów, pejzażów, martwych natur, kompozycyj religijnych i dużych kartonów witrażowych świadczy o niezwykłej wprost żywotności i pracowitości podeszłego w latach artysty, którego sztuka posiada znaczenie dzisiaj już historyczne; wciąż bowiem stanowi pochodną tych prądów artystycznych, jakie warunkowały plastykę okresu „Młodej Polski", osobliwie zaś jej secesyjnego odłamu, jakiego autor „Dziwnego ogrodu" był przedstawicielem klasycznym. Tapetowa płaskość dużej plamy barwnej, graficzny, często „misterny" kontur, przedmiotowa ozdobność obrazów i tzw. dekoracyjny charakter całości — to główne i najłatwiej uchwytne właściwości tego malarstwa, u którego podstaw tkwią takie fakty, jak: ciągłość tradycji prerafaelitów angielskich i w ślad za tym dążenie do jednolitego stylu we wszystkich dziedzinach plastyki, odkrycie drzeworytu japońskiego, pewien zwrot do sztuki średniowiecznej, ambitna próba odrodzenia malarstwa monumentalnego oraz nawiązanie do tego kierunku sztuki impresjonistów, który nie rezygnując z nowych zdobyczy kolorystycznych, ulegał urokom kaligrafii i używał gauguin'owskiej „ligne abstraite".

Pewne reminiscencje tego stosunku do formy dadzą się wyśledzić także w sztuce (ucznia prof. Mehoffera) Jana Książka, szczególnie w rysunkach portretowych, jakie przywodzą np. na pamięć srebrnym ołówkiem kreślone portrety Holbeina młodszego. Jakości typu tradycyjno-historycznego pojawiają się jednak w pracach J. Książka raczej wyjątkowo. Przeważają w nich bowiem formalne zdobycze współczesnego malarstwa francuskiego, którego refleksy odnajdziemy zarówno pośród akwarel malarza, jak „tuszów" i rysunków wykonywanych ołówkiem, sangwiną i pastelową kredą. Chodzi bowiem niewątpliwie o indywidualność wrażliwą i chłonną, która odczuwa potrzebę „malarskości" (z całym dobrodziejstwem współczesnego inwentarza) — a równocześnie, w przeciwieństwie do większości naszej oficjalnej awangardy, zachowuje pewne zrozumienie dla linearyzmu.

Porcelana ćmielowska, technicznie solidna, wydaje się pod względem artystycznym dość błaha i po prostu banalna; zanadto bowiem liczy się z tzw. gustem przeciętnym, jakiemu najbardziej odpowiada powierzchowna ładność, niewiele jednak mająca wspólnego ze sztuką Wolno zapewne przypuścić, że powód tego stanu rzeczy leży nie tyle w braku odpowiednich modelierów i malarzy, ile w przyczynach natury komercyjnej W tym miejscu należałoby przypomnieć, że porcelana XVIII w. nieraz bardzo wysokiej klasy artystycznej, cieszyła się znacznym popytem i była przemysłem gospodarczo zdrowym.

W zupełnie odmienną atmosferę artystyczna wprowadzaja widza tkaniny Heleny i Stefana Gałkowskich, którymi od razu stwierdzić muszę, jestem oczarowany. Przedstawiają one tak ogromne bogactwo form i zestrojów barwnych, ich „polifoniczność" jest tak złożona przy równoczesnych znamionach prostoty, że gruntowniejsza analiza tych tworów wymagałaby monografii i użycia bardzo precyzyjnych metod badania. Pod względem technicznym chodzi tu o rodzaj kilimów wełnianych o wątku ubijanym nie płochą lecz ręcznym „grzebieniem", dzięki czemu w wyglądzie tkaniny nie ma nic z mechanicznych powtórzeń, zastąpionych zawsze celowym i w każdym przypadku indywidualnym działaniem. Surowy materiał: gruba, krajowego pochodzenia wełna, nasycona z kolei pięknymi, często stłumionymi barwnikami, prowadzi do wręcz nieoczekiwanych, bo bardzo „malarskich" wyników, równocześnie darząc tkaninę efektem bogatego i szlachetnego kobierca. Efekt ten nie wynika z „gwałcenia" materiału, traktowanego w sposób technicznie całkowicie poprawny a nawet rygorystyczny, lecz odwrotnie, właśnie na tworzywie się wspiera, jak w każdej dobrej sztuce.

Ów wyraz bogactwa, swoją feeryczność i podniecającą inność w stosunku do obiektywnego świata, zawdzięczają te tkaniny złożonej, wielotematowej kompozycji, sprowadzanej przecież zawsze do mianownika jednolitej budowy całości. Czegoż to nie ma pośród wmontowanych w tkaninę motywów? Rozliczne formy geometryczne, rytmizowane w układach strefowych, to znowu kształty falujące i płynne, przelewające się jak gdyby koniecznym i bezwolnym ruchem, na rozmaite sposoby przeobrażone drzewa, liście i rośliny, różne zwierzęta, jakieś półkonie i ryby, ludzie i kukły oraz pożerające się nawzajem potwory splatają się w wizje fantastyczne, organizowane jednak z prawidłowością, czasem trudną do zdefiniowania, ale zawsze wyczuwalną. Na płaszczyźnie tkaniny kształtuje się nowy, niepokojący, to znowu pogodny świat, wylęgły w klimacie baśni mówiącej o ziemi, życiu organicznym i jego zasadniczej dziwności, — wszystko to zespolone z formami czysto abstrakcyjnymi, tym ściślej, że owe twory posiadają zawsze wyglądy „graniczne" (jakby powiedział prof. Ingarden), bo zrodziły się na pograniczu rzeczywistości i czystej abstrakcji, z nią raczej blisko spokrewnione.

Motywy te, warstwowane jedne nad drugimi jak w sztukach prymitywnych i sztuce dziecka, zespalane w całości o tytułach chyba świadomie literackich („Legenda", „Święcenie ziela w Morawicy", „Procesja", „Potop", „Turniej", „Dno morskie" itd.), zasługują na wyliczenie, bo nie są artystycznie obojętne, determinując formę zarazem jednak bardzo samodzielną i świadomą swego „dywanowego" przeznaczenia. Kształty przetworzonych ludzi, zwierząt i rzeczy leżą płasko na powierzchni i układają się w rytmiczne zespoły, pełne wewnętrznego ładu, oparte zawsze na konsekwentnie spełnianej zasadzie kompozycyjnej. Płaskość ta nie jest jednak płaskością martwej plamy, położonej przez szablon, bo podważa ją żywioł ruchliwego życia, pulsujący w tych tkanych oponach a narzucający się z całą siłą świadomości pomimo abstrakcyjnego i potworkowatego wyglądu większości motywów.

Wyczuwa się w opisywanych kilimach doskonałe wyczucie rzemiosła — i dużą kulturę malarską, której funkcją stają się „wielogłosowe", harmonijne i wynalazcze zestroje barwne, nieraz sprowadzane na zasadzie zrozumiałej potrzeby interwałów do układów prostszych, jakby monochromicznych („Turniej"). W trakcie pisania tej recenzji łapię się, co prawda bez zdziwienia, na tym, że niejednokrotnie w stosunku do tkanin używam języka urobionego na analizie dzieł malarskich. Nie sądzę, żeby to było metodologicznym błędem, bo z grubsza tylko omówione kilimy zawierają niewątpliwe wartości malarskie, poczynając od faktury a kończąc na układzie plam barwnych i ogólnym, zazwyczaj jasno określonym tonie. Wreszcie wydaje mi się, że zwłaszcza dzisiejsze malarstwo, tak bardzo już w założeniu „dekoracyjne" i płaskie, tak baczną uwagą darzące materiał i fakturę, napotyka pełnowartościowego rywala w ozdobnej tkaninie, której dekoracyjność znajduje pełniejszą niż obraz egzegezę w swym naturalnym przeznaczeniu.

P. S.

Swoim kolegom po fachu, dyrektorom muzeów jak również Naczelnej Dyrekcji Muzeów, radzę zakupić część dorobku tkackiego Gałkowskich do zbiorów publicznych. Sądzę bowiem, że opisane tkaniny będą stanowiły logiczne uzupełnienie kolekcyj dawnych kilimów polskich. Wprawdzie kilimy Gałkowskich są dalekie od kopiowania staropolskich wzorów, tkwią bowiem szczelnie w współczesnej sztuce, ale niewątpliwe do nich nawiązania i to nie tylko techniczne można przecież w nich wykryć.

Tadeusz Dobrowolski

Poważna praca naukowa

Dr Jadwiga Kobendza i dr Roman Kobendza. Materiały przyrodnicze do projektu rozplanowania Puszczy Kampinoskiej. (Kraków), „Czytelnik", 1945; str. 48, 3 mapy, 24 ilustracje i 2 nl.

Pierwsza to w piśmiennictwie powojennym poważna praca fizjograficzna, posiadająca nadto szeroki zasięg programowy w znaczeniu gospodarczym, osiedleńczym, turystycznym, letniskowym.

Rzecz nie była pierwotnie przeznaczona do druku. Stanowiła część materiałów zbieranych na zlecenie Biura Planu Regionalnego m. Warszawy w związku z projektem rozplanowania Puszczy Kampinoskiej dla celów turystycznych, projektu tak pojętego, aby nie ucierpiały obiekty godne ochrony ze stanowiska naukowego. Gdy jednak z materiałów tych w czasie wojny tylko ta jedna praca ocalała, dobrze uczyniono publikując ją, nie tylko dlatego, że stanowi dowód wysiłków minionych, ale i dlatego, że może być podstawą do wznowienia badań tak celowych.

Jako znani przedstawiciele wiedzy fachowej autorowie: dr Jadwiga Kobendza (geograf) i dr Roman Kobendza (botanik) dali w swej książce drobiazgowe i wszechstronne studium przedmiotu rozpatrując go pod względem geologicznym, klimatycznym, hydrologicznym, glebowym i botanicznym. Bardzo interesujący jest rozdział o wyznaczeniu rezerwatów przyrody, jako też wykaz miejsc wartościowych z punktu widzenia: a) przyrodniczego (tu należą niektóre okazy brzoży, modrzewia, sosny z fantastyczną sosną parasolową jedyną w Polsce, stare dęby, graby, aleje lipowe i brzozowe, pole jałowcowe itd., także z zakresu awifauny stanowiska żurawia i czapli); b) krajobrazowego (tu np. należy malownicza dolina rzeki Utraty, rozmaite wydmy, wały, góry); c) historycznego (jak mogiła powstańców z r. 1863, grodzisko przedhistoryczne, Żelazowa Wola — pamiętna jako miejsce urodzenia Fryderyka Chopina, ruiny zamku w Sochaczewie, szlak w zachodniej części puszczy, którym Władysław Jagiełło prowadził wojska pod Grunwald).

Gdyby nawet nie wszystko, co wymieniono w tej pięknej pracy, do tej pory istniało, gdyby wojna i tu pozostawiła nieusuwalne ślady swego brutalnego pochodu, pozostanie idea i konieczność zajęcia się jedną z ostatnich puszcz europejskich. Nie potrzeba dodawać, jak nieocenione znaczenie ma zachowanie tego rezerwatu dla samej choćby stolicy. Tereny puszczańskie zaczynają się niedaleko od Warszawy i ujęte Wisłą z północy a drogą z Warszawy przez Leszno, Kampinos, Sochaczew od południa, ciągną się ku zachodowi aż do Bzury.

Witold Ziembicki

Książka dla dzieci

Kariera Franka Żyrafy. Napisała **Lucyna Krzemieniecka.** Ilustrował **Czesław Wielhorski.** (Kraków), Spółdzielnia Wydawniczą „Czytelnik", 1945; str. 31 i 1 nl.

Pierwsza książka dla dzieci wydana nakładem „Czytelnika" odznacza się dużą dbałością i starannością pod względem literackim i ilustracyjnym. Dobry papier, wyraźny druk, dobrane barwy składają się na estetyczną całość.

Lucyna Krzemieniecka dała opowiadanie lekkie, zabawne, które śmieszy i uczy. Dowcipną fabułę młodzi czytelnicy na pewno czytać będą z zainteresowaniem.

Treść jest prosta: Franuś Żyrafa i Jaś Myszka postanowili zostać fotografami zwierząt. Pokonują wiele trudności i wreszcie osiągają cel. W zakładzie ich zaczynają się teraz pojawiać różne, osobliwe postacie: osioł, paw, okularnik, goryl. Wreszcie szczyt życiowych sukcesów: słoń, Biała Trąba, zaprasza ich do egzotycznej dżungli. Chłopcy jadą chętnie wraz z babcią, zaznają tam przygód i uciech. Ale Franuś zaczyna chorować, „nie tknął nawet lanczu, osłabienia przykry stan czuł".

Mądry tygrys radzi powrót do Polski, bo choroba ta, to tęsknota za krajem.

Na tym akcencie kończy się opowiadanie. Książka Krzemienieckiej daje zabawne charakterystyki postaci zwierzęcych, zaznajamia z ich trybem życia i obyczajami. „Kariera Franka Żyrafy" może służyć jako lektura szkolna przy nauce przyrody i geografii.

Jeżeli chodzi o elementy wychowawcze, to są tu uwydatnione: wytrwałość chłopców w dążeniu do celu, gorące przywiązanie Franka do babki i miłość jego do ojczyzny, bez której nie może żyć. Zakończenie i powrót dzieci do Polski, aby w kraju pracować, ma wydźwięk aktualności.

Może słuszniejsze byłyby tematy dla książek dziecinnych więcej związane z życiem.

Wiersz w opowiadaniu na ogół zgrabny i łatwo wpadający w ucho, rymy i asonanse często zaskakujące nieoczekiwanym dowcipem; zaznaczają się jednak usterki rytmiczne, których można by bez wielkiego trudu uniknąć.

Wartość książki podnosi strona graficzna. Rysunki Wielhorskiego pełne humoru i prostoty, zwłaszcza gdy kreśli postaci zwierząt: tygrysa, osła, słonia. Życzyć by należało autorom książek dla młodzieży, żeby zawsze mieli równie dobrych ilustratorów.

M. H. Dąbrowolska

Główne liczby nowej Polski

Ile liczy nasze państwo obecnie **obszaru?**
Około 311.530 km².

Ile **ludności** będzie na tym obszarze, gdy opadną fale emigracji i strumienie ludzi spływających do kraju z zachodu i wschodu ustalą wreszcie liczbę zaludnienia?
Około 22 milionów.

Takie obliczenia i szacunki podaje Instytut Bałtycki w broszurze poświęconej głównym liczbom nowej Polski.

Z **ziem dawnych** wchodzi w obecne terytorium państwa około **208.900 km².** Do tego dojdzie jeszcze przynajmniej część **Zaolzia,** około **500 km². Ziemie odzyskane** liczą około **102.630 km².**

Na 22 miliony ludności, około **½ miliona** — najwyżej szacując — należeć będzie do **innych grup etnicznych** niż polska, zakładając że wszyscy Niemcy i renegaci Volksdeutsche zostaną usunięci poza granice Polski. **Mniejszości narodowe** będą więc liczyły **4,4%:** na każdych 100 mieszkańców 4—5 niePolaków, 96—95 Polaków. Dwie będą grupy mniejszościowe: Ukraińcy i Żydzi, obie po ćwierć miliona głów. Jest jednak bardzo prawdopodobne, że **oszacowanie to okaże się** w świetle ścisłych zliczeń statystycznych **nadmiernie wysokie,** zarówno w odniesieniu do Ukraińców jak Żydów.

Gęstość zaludnienia tj. liczba mieszkańców na **1 km²** wynosić będzie, jak wynika z porównania obszaru i jego ludności **70,** tyle samo ile wynosiła w 1921 roku. Cyfra ta wyraża jaskrawo rozmiary strat bezpośrednich i pośrednich, które ponieśliśmy w ciągu 5½ lat wojny. Cofnęliśmy się do punktu wyjścia po pierwszej wojnie światowej. Inaczej mówiąc, **straciliśmy w rozwoju zaludnienia okrągło ćwierć wieku,** niemal jedno pokolenie.

Globalna **wysokość strat ludności polskiej** oceniana jest na **2,5 miliona.** Dochodzą do tego zniszczone przez niemiecki pogrom **3 miliony Żydów.**

W rozłożeniu gęstości zaludnienia zaszły kardynalne zmiany w porównaniu z okresem dowojennym. Gdy poprzednio zasiedlenie rzedło w miarę posuwania się na wschód, obecnie **obszary rzadszego zaludnienia będą na zachodzie i północy. Największe zagęszczenie** wykazywać będzie **centrum** państwa, na obraz rozgwiazdy, której ramiona wybiegają z Warszawy.

Polityka osadnicza i planowa rozbudowa przemysłu zmniejszy jaskrawe różnice i doprowadzi do celowego rozmieszczenia grup ludności w bardziej harmonijnym obrazie ogólnym, nie zdoła jednak zmienić od razu jego zasadniczego zarysu. Utrzyma się on na ogół w obecnym układzie w ciągu najbliższych lat.

Powyższe liczby orientują nas w pierwszych sprawach odrodzonego i wznoszącego się z gruzów państwa. Statystyka ma podstawowe znaczenie dla wszelkiej polityki gospodarczej i społecznej. Zdobycie dokładnych cyfr, bez których jesteśmy jak w próżni, stanowi jedno z najpilniejszych zadań. **Wartość liczb jest nie tylko naukowa, lecz na wskróś praktyczna.**

Józef Sieradzki

O formy świeże, zdrowe i żywe

Lekko, jakby od niechcenia, ale nader trafnie potępił Stanisław Dygat w „Mieszaninach" (nr. 24 „Odrodzenia") dancing w dotychczasowej formie w czasach dzisiejszych.

„Ten dancing wraz z podrygującymi tępo bywalcami sprawia wrażenie czegoś niepomiernie anachronicznego i w nowej epoce trupio martwego. Jest to przemytnik głupoty i bezmyślnego marnotrawstwa, któremu udało się w Nowe Czasy przekraść przez granicę postępu. Ta głupota, bezmyślność i marnotrawstwo wymalowane są wyraźnie na twarzach dancingowych bywalców".

„...nie wrócę tam więcej. Chcę czasem zabawić się... ale dla tego celu nie mogę odbywać aż tak dalekiej podróży w przeszłość rozegraną już i martwą.

Będę czekał aż i ta dziedzina życia oblecze się w formy świeże, zdrowe i żywe".

Powyższa tak surowa opinia o dancingu nie jest odosobniona. Rzecz ciekawa, iż w zupełnie innym środowisku działaczy ludowych wydano już dawno wyrok śmierci na dancing w dotychczasowej formie.

Dancing powstał przy końcu poprzedniej wojny światowej i zdobył sobie wszędzie prawo obywatelstwa. Było to zrozumiałe, iż ludzie zmęczeni kilkuletnią wojną nie chcieli myśleć o frakach i sukniach balowych, gdy przyszła im ochota do tańca. Nieodżałowanej pamięci Boy-Żeleński przeciwstawił w świetnym szkicu obyczajowym „Karnawał" przestarzałym i śmiesznym formom dawnego karnawału swobodę tańczenia na dancingu. Niestety, po paru latach gwałtownego rozpowszechnienia, dancing ukazał swoje ujemne strony. Zamiast jak w dawnym karnawale tańczyć przez osiem tygodni w zimie, ludzie tańczyli przez krągły rok i w nocy i w dzień. Muzyka jazzowa wypierać zaczęła w najszerszych kołach muzykę klasyczną i przy pomocy radia i płyt patefonowych przechodzić z miasta do wsi. Importowane lub wzorowane na utworach zagranicznych, często banalne lub wprost rażące tekstem słownym piosenki-szlagiery czyli „przeboje", tanga, shimmy itp. zaczęły na wsi wypierać rodzime, dawne, piękne piosenki i oryginalne przyśpiewki ludowe, żywe twory naszej polskiej artystycznej kultury ludowej. Równocześnie coraz bardziej upraszczane i pozbawione piętna artystycznego tańce nowoczesne wypierały oryginalne nasze tańce ludowe.

Marian Hemar, jeden z twórców popularnych „przebojów" tanecznych, ujawnił w swoim czasie w „Wiadomościach Literackich" z całą szczerością żmudne rzemiosło układania tych „piosenek" na określoną z góry ilość zgłosek czyli tzw. „rybkę" i przyznał ze skruchą, iż nie byłby napisał ani jednego „przeboju", gdyby mógł był przewidzieć tak okropne zmaltretowanie w tych „przebojach" polskiego słowa, stylu i smaku artystycznego a zarazem ogromne rozpowszechnienie się „przebojów" w szerokich masach ku pognębieniu prawdziwej muzyki i poezji.

Nie były to jeszcze wszystkie ujemne skutki nowej mody. Na dancingach pojawiły się tzw. fordanserki. Zrazu miały obowiązek tańczenia z gośćmi, a później zadaniem ich było upijanie gości, za co otrzymywały procent od płaconych przez nich rachunków. Od stolika na sali przechodziło się do gabinetu. Policja obyczajowa tropiła dziewczyny uliczne, usiłujące późną godziną zarobić na kawałek chleba i postępowała z nimi brutalnie. Równocześnie ich dorodniejsze siostry na dancingu bezkarnie uprawiały ten sam smutny zawód upijając przy tym a czasem i okradając swych klientów.

Gdy robotnicy miejscy śpieszyli rankiem do pracy, spotykali po drodze o każdej porze roku zaspanych i często „zawianych gości" wracających z dancingu. W trudnych warunkach ekonomicznych przed wojną nocna zabawa na dancingu była udziałem jednostek uprzywilejowanych, ludzie pracy nie mogli sobie pozwolić na takie przyjemności, jeżeli byli uczciwi. Gdy przed wojną, jeszcze przed otwarciem „Adrii" modny wówczas dancing „Oaza" ogłosił był upadłość, figurowali w spisie jego dłużników komisarz rządu Jaroszewicz i pułkownik Wieniawa-Długoszowski z wysoką na owe czasy kwotą 25.000 złotych za wypite trunki. Z czasem stała się „Adria" czynnikiem składowym życia naszych sfer oficjalnych sanacyjnej ery. Trudno wyrazić uczucie zawstydzenia i przygnębienia na widok marszałka sejmu Świtalskiego podrygującego w tłoku na parkiecie „Adrii" w nocy przed poranną sesją sejmową.

Podczas okupacji niemieckiej inteligencja polska stroniła od miejsc rozrywkowych, a tym bardziej od dancingów. Klientelę ich stanowiła nowa plutokracja, przedsiębiorcy i dostawcy pracujący dla władz niemieckich. Nigdy też publiczność w modnych i drogich lokalach, wystrojone i wymalowane panie i eleganccy panowie spekulujący na złocie i brylantach nie byli dla nas, uczestników ruchu podziemnego, tacy wstrętni jak w tych ponurych czasach, gdy obozy były przepełnione, na ulicach grzmiały salwy plutonów egzekucyjnych, a my sami nie znaliśmy dnia ani godziny „chodząc po linie".

A dziś? Gdy trzeba pracować o głodzie i chłodzie, by dźwignąć z ruin zniszczony kraj, przy najskromniejszych zarobkach ludzi pracy, czy dancingi, codzienne hulanki i pijatyki ludzi zbogaconych na wojnie są na miejscu? Ludzie uczciwej pracy zawodowej nie mogą sobie w ogóle pozwolić na odwiedzanie dancingów.

Wiceminister przemysłu W. Ciszewski powiedział na konferencji przemysłowej, iż istnieje u nas duża część załóg fabrycznych, która z zaparciem się siebie w najcięższych warunkach materialnych pracuje i walczy. Czy jest rzeczą godziwą i dopuszczalną, by jedni pracowali w Polsce w pocie czoła, gdy innych stać na homary i likiery po bajońskich cenach w łódzkich, powiedzmy, modnych lokalach? Dążeniem dzisiejszej demokracji jest przecież nie tylko zapewnienie szerokim masom równouprawnienia politycznego. Biedak nie włoży kartki wyborczej do garnka zamiast przysłowiowej kury Henryka IV. Demokracja polega na równouprawnieniu społecznym, na możliwym wyrównaniu stopy życiowej i usuwaniu rażących kontrastów! Jeżeli na bywanie w drogich lokalach nie stać uczciwego urzędnika czy nauczyciela, nie należy ich w ogóle tolerować, skoro są dostępne tylko dla ludzi, których wielkie zarobki są zaprzeczeniem demokratycznej słuszności i sprawiedliwości. A cóż mówić, gdy te wielkie zarobki są owocem łapownictwa niesumiennych pracowników i nadmiernych, nieuczciwych zysków z przemysłu i handlu, płynących z pracy robotników, którym ledwie wystarcza na chleb. Wicemin. Ciszewski powiedział, iż obok tych, którzy pracują w najgorszych warunkach materialnych, są niestety, liczne rzesze tych oduczonych przez wojnę od uczciwego pojmowania swoich obowiązków. Zapowiedział walkę z tymi „rycerzami przemysłu" i wypalenie tej plagi ogniem i żelazem usprawnionego aparatu kontroli. Zanim się to stanie, ci właśnie „rycerze" pracujący w cieniu hulają i piją na dancingach płacąc ogromne rachunki. Czy ogólne trudne położenie materialne olbrzymiej większości obywateli Polski demokratycznej nie powinno być dla naszych władz powodem do szybkiej likwidacji luksusowych lokali, jeżeli równość demokratyczna nie ma być tylko frazesem politycznym?

I rzecz zasadnicza. Powstaje nowa Polska. Chłop stanowiący ogromną większość narodu polskiego musi w całej swej masie wziąć żywy udział w życiu kulturalnym narodu, jeżeli Polska ma sprostać dziejowym zadaniom na ziemiach zachodnich. Nasza miejska inteligencja musi to nie tylko zrozumieć, lecz ze swej strony musi zbliżyć się do wsi, zżyć się z nią. Wielki krok naprzód stanowi w tym kierunku reforma rolna, podniesienie stanu materialnego chłopa, powstanie bibliotek i domów ludowych, zakładanie szkół średnich na wsi, formowanie młodych kadr oficerskich z młodzieży ludowej, czyli w sumie tworzenie nowej inteligencji ludowej. Wraz z nią powinny raczej przyjść do miast pierwiastki rodzimej artystycznej kultury ludowej niż miałaby ona przyswoić sobie kosmopolityczne, zbanalizowane i zdegenerowane formy życia miejskiego w postaci kabaretów, rewii i dancingów. Nasza inteligencja szlacheckiego i mieszczańskiego pochodzenia jest dość przeżyta, nasza poezja i sztuka czeka na nowe, wielkie talenty twórcze. Powinny one wyjść z szeregów młodej inteligencji ludowej. Muszą mieć jednak odpowiednią atmosferę. Z kabaretów, rewii i dancingów nie wyrośnie żaden Chopin ani Wyspiański. Gdyby nowa inteligencja ludowa miała wynieść z miast atmosferę dzisiejszych dancingów i przyczynić się do dalszego rozpowszechnienia „przebojów" kabaretowych czy dancingowych na wsi, zabije piosenkę ludową i spłyci artystyczną kulturę rodzima wsi, a w tej atmosferze nie urodzi się żaden Kasprowicz ani Tetmajer, ani Reymont.

Powyższe względy społeczne przemawiają za przeprowadzeniem gruntownych reform. Przede wszystkim należy wprowadzić ścisłą kontrolę artystyczną słowa, tekstu piosenek i wszelkiej recytacji. Artyści, muzycy i poeci niech zwrócą uwagę na możliwie najszersze wykorzystanie polskich piosenek ludowych w „przebojach" tanecznych (dancingowych).

Czy od głupstw i banałów w rodzaju:

Ach, żleś wywróżył mi,
Żeś serce zdurzył mi,
Słowami zburzył mi świat (Hemar)

albo:

Przytul! kwiaty piersi otwórz spiece głodnych warg,
Przytul! niech się usta wpija w biały prężny kark...
(Olden)

nie są piękniejsze przyśpiewki ludowe:

Nie będę się żenił,
Nie będę się śpieszył.
Będę się zalecał,
Będę panny cieszył.

Nie wyjdę zamąż
W tym roku jeszcze.
Chłopców mądrych nie ma
A głupiego nie chcę.

Należy rozerwać połączenie tańca z przymusem pijaństwa na dancingu i wrócić raczej do dawniejszych wieczorów tanecznych, gdzie chodziło przede wszystkim o przyjemność tańca na dużej sali a konsumcja stanowiła tylko dodatek. Dla celów wychowawczych i kultury towarzyskiej, której tak brak dzisiejszej młodzieży, byłoby wskazane przywrócić dawne tańce zespołowe jak kadryl czyli kontredans, wymagający właśnie więcej miejsca i oczywiście także narodowe tańce ludowe: mazur, krakowiak i wspaniały kujawiak, tańczony zresztą przed wojną z zapałem przez młodzież akademicką. Przyczyni się to samo przez się do zaniku dzisiejszych skostniałych, przeżytych dancingów, gdzie w braku miejsca ludzie udają w tłoku, że tańczą, popychając się wzajemnie i trącając jednakowo w każdym tańcu.

Pozornie może się wydawać, iż sprawa jest błaha, ale w istocie jest to rzecz dużej wagi: sposób, w jaki człowiek spędza wolny czas i w jaki organizuje swoje rozrywki świadczy o stopniu jego kultury.

Stanisław Piotrowski

Szlakiem żołnierskiego wzruszenia

Stefan Klimczak, por. W. P., Od Oki do Sprewy. Montaż literacki. Słowo wstępne **Henryka Wernera,** ppłk. W. P. Okładkę projektował **Henryk Tomaszewski.** (Łódź), „Książka", 1945; str. 192.

Książka por. Klimczaka wydana w okresie ożywionej dyskusji nad najpilniejszymi potrzebami rynku wydawniczego pobudza do licznych refleksyj. Tę pracę żołnierza powinni przeczytać jak najrychlej inicjatorzy wznowionych edycji Londona oraz ci, których gusta i potrzeby duchowe dyktują problematyczną konieczność owych wznowień: pierwsi znajdą przekonywający dowód, że nie trzeba sięgać daleko, by znaleźć materiał godny druku, — drudzy stwierdzą, że smak swojskiej „przygody" nie ustępuje w niczym odgrzewanej egzotyce „synów słońca". Nie jest też ta książka obojętna dla równie żywo dyskutowanej sprawy realizmu nowej prozy. Okazuje się, że pewne formy pisarskiej wypowiedzi kształtują się niezależnie od teoretycznych, normatywnych ustaleń; tak więc zdaje się zyskiwać pełne prawo obywatelskie typ prozy narzucony palącą potrzebą wyrażenia „na gorąco" bogatych przeżyć wojennych, opowiedzenia ich wiernego, z zachowaniem autentyzmu rzeczy — a ujętego w ramy środków artystycznych, wypracowanych przez wczorajszą już „prozę literacką".

Do tego właśnie gatunku pośredniego pomiędzy reportażem a nowelą należy zbiór wspomnień żołnierskich „Od Oki do Sprewy". Autor opatrzył swą pracę podtytułem „Montaż literacki". Niepotrzebnie: gdyż na szczęście „literackość" nie oznacza tu ustępstw czynionych kosztem prawdy na rzecz efektu formy lub fikcji fabularnej, ale ogranicza się jedynie do spełnienia warunku każdej roboty pisarskiej — do wyrażenia myśli trafnym słowem i poprawnym zdaniem. „Montaż" ten, to po prostu zamknięcie bogatych i różnorodnych treści żołnierskiego życia w przejrzystą całość kompozycyjną sześciu rozdziałów obrazujących w kolejności czasowej i przestrzennej czyn zbrojny I Armii — a więc: jej narodziny nad Oką, chrzest ogniowy pod Lenino, trud „pierwszych kroków" wypełniony szkoleniem, upragniony marsz na „Zachód" szlakiem zwycięskich bitew o Ukrainę, a wreszcie boje na ziemi polskiej od Bugu po Warszawę i etap ostatni, zakończony zatknięciem sztandaru na gruzach Berlina.

Nie ma w tym wszystkim — jak zresztą zaznacza przedmowa — „syntez strategiczno-batalistycznych", ani „uogólnień polityczno-historycznych". Brak ten wyrównuje słowo wstępne ppłk. Henryka Wernera podające ocenę historyczną faktów. W osnowie książki znajdziemy co innego: bezpośrednią obserwację najbliższego otoczenia, przekazanie pamięci tych spraw żołnierskich, które mieszczą się w zasięgu osobistych możliwości postrzegania. Stąd wiele epizodów poświęconych sprytowi, przemyślności, odwadze, męstwu, a nierzadko bohaterstwu ludzi nazwanych po imieniu — stąd hegemonia „przypadków poszczególnych" i czynów indywidualnych nad obrazem całości. Stwarza to specyficzną atmosferę żołnierskiej gawędy, skroś której przewija się szlachetnym tonem uczucie koleżeńskości i braterstwa broni. Tym zresztą sposobem: dedykowania swych przeżyć towarzyszom i współuczestnikom powszednich trudów wojennych wydobywa autor dźwięk szczery i wzruszający. A wzruszenie właśnie drży na dnie wszystkich opisywanych zdarzeń, przygód i tarapatów, wszystkich migawkowo prezentowanych fragmentów życia żołnierskiego na postojach, w marszu, w transporcie, podczas ćwiczeń i podczas boju. Wzruszenie, które, choć miarkowane żołnierskim hartem i rozładowywane humorem, jawi się uparcie raz po raz. Nie jest to sentymentalna rzewność. Przyczyna jego tkwi w żądzy czynu, w pragnieniu orężnej rozprawy z Niemcami, skwitowania tragicznego rachunku krzywd: ucisku pozostawionych w kraju rodzin i własnej długoletniej tułaczki. A poza tym w tej opowieści o „drodze do Polski" jest inne jeszcze wzruszenie: w czasie nieustannych myśli i rozmów o ojczyźnie ukształtowali żołnierze w swych umysłach przekonanie o nowym ładzie, na jakim musi się oprzeć Polska wyciosana żołnierskim trudem; w ich prostych przemyśleniach uformowanych na tle ogromnej tęsknoty za ziemią ojczystą były wszystkie ogniwa, które w wyzwolonej Polsce złożyły się na całość programu odbudowy. I dlatego wzruszenie pulsujące pod szorstką powłoką żołnierskiej gawędy jest wartością pozytywną i twórczą.

Wilhelm Mach

PRZEGLĄD PRASY

Zjazd literatów wykazał, że wszyscy pisarze bez względu na różnice uznają humanizm za wspólną podstawę światopoglądową. Humanizm złączył wszystkich, bo dla wszystkich człowiek to samo oznacza. I dlatego mimo ujawnienia się różnic ideologicznych, wydawało się, iż nie są one tak zasadnicze, by nie miały z czasem ustąpić. To przekonanie o tymczasowości istniejącego skłócenia dyktowało Adamowi Ważykowi nadzieję: „Jeszcze spory, które się toczą na łamach czasopism, jeszcze argumenty, pojęcia, którymi operujemy, świadczą o pewnym zamieszaniu, które jednak — ustąpi z umysłów".

Dlatego każde pragnienie precyzji jest cenne, z tym zastrzeżeniem, by chodziło o precyzję ideową a nie stylistyczną tylko. Dyskusja o stylu w literaturze wykazała, jak trudno porozumiewają się ze sobą ludzie podobnie myślący, a cóż dopiero, jeśli światopoglądy ich dzielą.

Nie wydaje się, by „uznanie wartości społecznej za jedyną wartość rzeczywistą i twórczą" było „dla ogółu myślącego" „czymś w rodzaju kwadratury koła", jak precyzuje w „Tygodniku Powszechnym" **Hanna Malewska.** Nieporozumieniem jest twierdzenie, że humanizm socjalistyczny oznacza zniszczenie wzajemnej proporcji jednostki i ogółu. Przecież właśnie w państwie socjalistycznym proporcja ta zostaje faktycznie zastosowana i ważność zadań pojedynczego człowieka wzrasta chociażby przez to, że drugi pojedynczy człowiek na spełnienie tych zadań oczekuje. Złożenie ofiary śmierci przez miliony ludzi uratowało kulturę dla milionów pozostałych. I nie to było powodem — jak precyzuje w dalszym ciągu Hanna Malewska — upadku wiary w człowieka, gdyż w wojnie tej czynnik irracjonalny był użyty wyłącznie jako narzędzie zagłady. Dlatego nie wiara w człowieka, lecz świadomość sensu jego istnienia jest podstawą humanizmu socjalistycznego. To nie jest chyba tak bardzo niejasne i tak mało precyzyjne?

Zresztą precyzji nigdy nie jest za wiele. **Dlatego** z sympatią sygnalizujemy ukazanie się **pierwszego** zeszytu miesięcznika „teoretyczno-szkoleniowego" Polskiej Partii Socjalistycznej p. n. „Przegląd Socjalistyczny". Pismo stawia sobie za cel „służyć dobrą informacją, rzetelnym oświetleniem, referowaniem idei i osiągnięć, pobudzaniem do samodzielnego, śmiałego, nowego myślenia".

Gdy na zjeździe literatów na porządku dziennym postawiono sprawę literatury dwudziestolecia, tak przeciwnicy jak i jej obrońcy zajęli swoje stanowiska demonstracyjnie. Już sam fakt głosowania o tym świadczy. Bo przecież czyż można było w pół godziny rozstrzygnąć sprawę książek, których od wielu lat nikt (a przynajmniej mało kto) nie czytał? Dzisiaj o literaturze dwudziestolecia nie może stanowić pamięć osądów kiedyś wydanych. Tym bardziej, że „opinie o książkach i pisarzach" — pisze w „Kuźnicy" **Adam Ważyk** — „ustalały się w wiadomej atmosferze przedwojennej i często były wypadkową taktyki pism literackich, mających określone tendencje polityczne, dalekie od dzisiejszej demokracji".

O pozycji **dzisiejszej** pisarza i **dzieła stanowić** może tylko ocena **dzisiaj** wydana, „ocena po latach". „Wiadomo, że rewidować utwory żyjących" — kontynuuje Ważyk — „to rzecz dosyć przykra. Wojna zabiła w nas ducha przekory. Wszystkich jakoś łączy wspólny sentyment, że się odnaleźli, że przecież tę noc przetrwali, że się przecież dzielnie lub godnie zachowali, że wspólnego mają wroga w faszyźmie. Ale baczmy, aby front jedności narodowej nie stał się w literaturze szkołą obłudy".

Ocena po latach musi być próbą krwi i usiłuje taką być w „Kuźnicy", gdzie w stałej rubryce w tym celu ustanowionej **Jan Kott** pisał interesująco o „Przedwiośniu". Nie może być ona natomiast mierzeniem kapelusza. „Mierzenie" takie jest czynnością bezsensowną, jest wyrazem lekceważenia czytelnika i pisarza, który ma prawo przecież do nowego życia, a nie tylko do wspominków przeszłości. Przykładem takiego „mierzenia" jest artykuł **Ryszarda Matuszewskiego** o Iwaszkiewiczu w dodatku literackim „Rzeczypospolitej".

„W niewielkim światku pisarskim Polski dzisiejszej Iwaszkiewicz stanowi bezprzecznie jedno z najświetniejszych nazwisk".

Oceny takiej nie można uznać ani za słuszną, ani za fałszywą. Jest po prostu nieudokumentowana. A przecież ocena wydana przez pismo codzienne ma specjalny rezonans i lekceważyć tego nie wolno.

Pisząc o roli dodatków literackich w dziennikach scharakteryzowaliśmy nasz punkt widzenia. **Jan Brzoza** w dodatku „Trybuny Robotniczej" w sposób interesujący z tą charakterystyką polemizuje. Nawiązując do milczenia wokół naczelnych spraw kultury na łamach prasy codziennej, spraw, które w periodykach literackich zostały poruszone, Jan Brzoza uznając słuszność naszego punktu widzenia wyraża pogląd, iż brak reakcji jest w dużej mierze spowodowany tym, że sprawy te „widocznie nie są tak ważne, palące, żeby pochłonęły uwagę szerokich mas, albo podane w sposób nie wzbudzający zainteresowania... Sprawy ważne, takie, które interesują, które bolą, znajdą zawsze swój wydźwięk, choćby były poruszone w najmniej poczytnych pismach". Notatka, z którą Jan Brzoza polemizuje, nie miała na widoku celu doraźnego: zwiększenia rezonansu np. dla „Odrodzenia", a postulat popularyzacji zagadnień tu omawianych (jak również w „Kuźnicy", „Odrze", „Twórczości") był podany przykładowo. Chodziło o co innego: o intensyfikację życia kulturalnego w ogóle, o wprzęgnięcie prasy codziennej do pracy nad budzeniem zainteresowań kulturalnych wśród mas. Intencję naszą zresztą „Trybuna Robotnicza" słusznie oceniła wysuwając zagadnienia kulturalnie żywotne: „Choćby sprawa łaciny w szkołach średnich, także i w Polsce. Choćby sprawa wydawnictw podręczników szkolnych, sprawa udostępnienia słowa drukowanego dla wsi..."

Polemika, która rozgorzała wokół „Wsi" (w cudzysłowie) świadczy dobrze o namiętności, z jaką traktuje się sprawy kultury ludowej. Natomiast nie bardzo dobrze świadczy o poziomie dyskutantów. Wypowiedź w nr 8 „Odry" niech będzie na to przykładem. I jeszcze jedno. Prawdopodobnie szybkość przeobrażeń ideowych i organizacyjnych wśród pisarzy chłopskich sprawia, że zespół redakcyjny tygodnika „Wieś" nie może nadążyć w formułowaniu swoich postulatów, a jeśli nadąża, to w porę nie odwołuje postulatów już nieaktualnych. Stały czytelnik tego pisma jeszcze od czasów Lublina nie może się wskutek tego zorientować w powstałym chaosie. Wdzięczni jesteśmy ob. ZKł za wyjaśnienia, które nam pozwalają poczynić odpowiednie sprostowania. A więc z najważniejszych: tygodnik „Wieś" nie służy już jak to czynił dawniej „masom ludowym, budzeniu ich świadomości" lecz jest organem literatów chłopskich i ma od nr 15 (artykuł J. A. Króla: „Kto czyta „Wieś") zmniejszony zasięg działania; oddział wiejski Związku Zawodowego Literatów Polskich nie ma już niestety powiązań organizacyjnych ze Związkiem Samopomocy Chłopskiej, chociaż je miał do 21. X. br. na pewno, gdyż w dniu tym ob. Jan Szczepański pisał w tygodniku „Wieś": „Nowy okres w dziejach „Wsi" datuje się dopiero od Zjazdu Pisarzy Chłopskich w Warszawie, zorganizowanego przez Związek Samopomocy".

Zresztą nie jesteśmy tego wszystkiego tak bardzo pewni, gdyż może ob. ZKł, jak mu się to podobno zdarza, koloryzuje...

Wśród drobnych sporów literackich i wielkich polemik kulturalnych nie zostało dotychczas dostatecznie przedstawione szerszej publiczności jedno z czasopism najskromniejszych wyglądem, a najpoważniejsze zawartością. Ukazały się już trzy zeszyty „Języka Polskiego", wznowionego dwumiesięcznika pod redakcją prof. **Kazimierza Nitscha.** „Rzecz dla ludzi ducha tak istotna jak słowo" (M. Dąbrowska), słowo polskie, jest w tym piśmie pielęgnowane w czystości i chronione przed skażeniem. Z prac, jakie dotychczasowe zeszyty opublikowały, zwracają szczególną uwagę: artykuł Kazimierza Nitscha „O nową reformę ortografii", w którym autor w sposób przekonywający oddala głośne żądania „demokratyzacji" pisowni, wypowiedziane przez J. N. Millera; artykuł **Marii Dąbrowskiej,** przyznającej Kazimierzowi Nitschowi słuszność „od strony pisarza"; praca zmarłego przedwcześnie w czasie wojny wybitnego naukowca **Franciszka Siedleckiego** „O nowych badaniach nad budową wiersza".

„Przeczytanie „Języka Polskiego" było jedną z moich największych przyjemności ostatniego półrocza" — pisze Maria Dąbrowska. I trudno nie podzielać jej zdania.

zb

Wracamy do sielanki

Czego potrzeba wsi naszej w zakresie oświaty? Bardzo niewiele.

„Dziecko wiejskie powinno się nauczyć jak dawniej w ciągu czterech, najwyżej pięciu lat nauki, czytać, pisać i rachować: czytać tak, aby dziecko samo rozumiało, co czyta, a słuchacze jego, aby czytanie rozumieli bez znużenia i zniechęcenia, pisać tak, aby dziecko bez trudności samo przeczytało, co napisało i aby inni potrafili przeczytać np. adres na jego liście i list sam. Dziecko wiejskie powinno umieć cztery działania rachunkowe liczbami całymi i ułamkami tak piśmiennie jak i pamięciowo".

Jak dawniej!

Gdzie to owe dawne, dobre czasy. „Zresztą nie było tak źle z tą niedostępnością szkoły średniej dla młodzieży wiejskiej od końca XIX wieku w Galicji a także i w Poznańskim, mimo że szkoła ta nie była wcale bezpłatna". Inaczej określając epokę szkolnictwa: za c. k. Rady Szkolnej Krajowej. Albo jeszcze inaczej: gdy wedle opowiadań śp. Jana Ptaśnika w gronie uczniów, chłopski syn, dobiwszy się wśród wielkich prywacji uniwersytetu, mieszał błoto dziurawymi butami, a w porę obiadową zaciskał rzemień, by uśmierzyć dokuczliwy głód.

Dobrze było, aż hej!

Nie wiadomo po co ks. Stojałowski i Stapiński i Bojko potykali się z konserwatystami o rozbudowę szkoły. Przecież „wieś potrzebowała dzieci dorastających do pracy i zapewne w najbliższych kilku latach będzie ich tak samo, jeżeli nie więcej, potrzebować". A młodszych do pasania gęsi i poganiania bydlątek.

Tak samo, jeżeli nie więcej.

Właśnie. Poza tym niebezpieczeństwo zakosztowania z drzewa wiedzy jest nieobliczalne.

„Trudno sobie wyobrazić..., aby każde dziecko, wiejskie i miejskie, mogło skończyć szkołę średnią i przejść tym samym do zawodu wyższego, lepiej płatnego, czyli awansować społecznie. Oznaczałoby to zastąpienie u nas w krótkim czasie wszystkich ludzi ze średnim wykształceniem ludźmi pochodzenia wiejskiego... Oznaczałoby to zarazem wielki wzrost współzawodnictwa w tych zawodach i obniżenie płac obok wielkiego odpływu ludności ze wsi nie tylko do miast, ale w dużym stopniu także za granicę".

Kłębowisko plag spadłoby nieuchronnie na społeczeństwo.

„Wykształcenie średnie ogółu ludności wiejskiej spowodowałoby przede wszystkim **przewrót w życiu wsi** (podkreślenie nasze). Nikt nie chciałby zostać rolnikiem i żyć na wsi..."

W obliczu takiej grozy trzeba, oczywiście, środków zaradczych, profilaktyki. Najlepszą będzie **depresja społeczna** żywiołu, który na razie jeszcze jako tako trzyma się w opłotkach wiejskich.

Sprawa ma szersze aspekty.

Primo: „Wychodzimy z założenia, że Polska jest **i pozostanie** (podkreślenie nasze) krajem rolniczym na taki okres czasu, który przekracza przewidywania ludzkie i możność racjonalnego planowania już dzisiaj". Niech inni uprzemysławiają się, urbanizują, popadają w kult maszyn — u nas „wieś jako forma osadnicza, socjologiczna i gospodarcza będzie przeważała nad miastem pod względem ilościowym". I to jest mądre zrządzenie Opatrzności, palec Boży.

Bo, secundo: „Drugim **pewnikiem jest** (podkreślenie nasze), że... wieś i rolnictwo dały początek kulturze i stanowią dotąd jej podstawę istotną, miasto zaś stanowi stadium końcowe cyklu rozwojowego kultury. Daleko posunięte uprzemysłowienie i urbanizacja kultury jest zapowiedzią przejrzałości i zbliżenia się końca cyklu rozwojowego czyli upadku kultury narodu".

Jasne jest, że Amerykanie, Anglicy i Rosjanie zdążają z deterministyczną siłą i szybkością do katastrofy. Ich czeka zmierzch. Ale nas, na szczęście, to nie dotyczy.

„Nasz naród, podobnie jak każdy inny, powinien starać się **jak najdłużej** (podkreślenie nasze) zatrzymać się w połowie swego życia, czyli w połowie cyklu rozwojowego (czy aby to na pewno połowa? — wątpliwość nasza). Naród nasz powinien zachować jak najdłużej równowagę między wsią i miastem, tj. między produkcją rolną i przemysłową".

O zbawcza młodszości naszego cywilizacyjnego rozwoju! Co za szczęście, że szlachta przeczuła na czas tajniki historii i zatrzymała rozwój gospodarczy narodu już na ćwierci cyklu a nie to w połowie. A potem opatrznościowi zaborcy, zwłaszcza zachodni, podbali o niedorozwój przemysłowy. Dzięki temu jesteśmy w połowie cyklu i musimy obecnie z własnej świadomości ten moment utrwalić. Przez pamięć dla Lechitów, których Franciszek Piekosiński z takim trudem sprowadził z Azji i po mozolnej peregrynacji rozmieścił wreszcie koło Gopła i Kruszwicy.

Budząc dziś „cześć dla doskonałości techniki nowoczesnej i pociąg do wygody życia w mieście" — do czego zmierzamy? Mane, tekel, fares. „W szkole wiejskiej... ważniejsze jest nauczanie zrozumienia i ukochania przyrody, poszanowania tradycji i zwyczajów wiejskich..." Archaicznych urządzeń, patrymonialnych cnót, z prymitywizmem technicznym, pierwotną higieną, uświęconą stopą życiową, starym, wypróbowanym programem „wsi spokojnej, wsi wesołej".

Kto to pisze i gdzie? Może jakiś ultrakonserwatysta w pierwszych latach sejmu galicyjskiego? Na wielkiej płachcie krakowskiego „Czasu"?

Nie. W „Tygodniku Powszechnym". Nr 34 z dnia 11 listopada roku pańskiego 1945. „Dyskusja szkolna" nazywa się rubryka. W związku z reformą szkoły na jednolitą, prawdziwie upowszechnioną, rozważania „jakiej szkoły potrzebuje wieś polska w najbliższych kilkunastu latach odbudowy gospodarczej i tworzenia państwa w nowych warunkach geograficznych, politycznych i społecznych".

Pisze profesor Franciszek Bujak („Zagadnienie wiejskiej szkoły powszechnej").

Przykro czytać.

js

Ten kot jest czarny

Ma szczególne upodobanie do kotów. Nosi ze sobą stale zawiniątko, o którego zawartość nikt by go nie posądził. Tylko najbliżsi przyjaciele wiedzą, co w nim jest, ale oni są zaprzysiężeni. Do mnie ma dziwną słabość i chociaż do grona jego przyjaciół jeszcze nie należę, obdarza mnie zaufaniem. Kiedyś przystąpił do mnie na ulicy i powiedział swoim wyraźnym szeptem pokazując zawiniątko: „kot w worku". Nie zdziwiłem się, bo domyślałem się od dawna czegoś jeszcze gorszego i zapytałem wprost: „biały czy czarny?". „Od razu chciałby pan wszystko wiedzieć!" odpowiedział i oddalił się w kierunku ulicy Franciszkańskiej.

Nie należę do ciekawskich. Toteż z uśmiechem obserwowałem go jak, ilekroć się ze mną spotykał, osłaniał swoje ulubienie, bym się nie dopatrzył jego cery. Biały czy czarny, co to mnie mogło obchodzić. Wystarczało, że wiedziałem o jego sympatii, iż jest zdecydowanie zabarwiona.

Wszystko było by w najlepszym porządku i nigdy bym jego zaufania nie zawiódł! Czy nie wszystko jedno, co kto ma w zanadrzu? Ale kol. Kisiel, bo to o nim mowa, wpadł w manię prześladowczą i wszystkich swoich kolegów od jakiegoś czasu posądza o złe w stosunku do swego kota zamiary. Nawet tych, którym w ogóle do głowy nie przyjdzie domyślać się, co on w przysłowiowym już worku obnosi. Został nawet członkiem zarządu Towarzystwa Przyjaciół Zwierząt, po to tylko, by przeforsować w nowym statucie zakaz odwracania kota ogonem. Mało tego, posunął się aż do denuncjacji wobec władz Towarzystwa kolegów (wymienił ich z nazwiska!), którzy rzekomo praktyki takie z jego kotem czynią.

Wobec tego, że i mnie o złe zamiary w stosunku do swego kota posądza, a nawet o wykonanie próbnych „odwróceń" obwinia, poczułem się osobiście jego kotem w worku zainteresowany.

Począłem kol. Kisiela śledzić. Pewnego dnia niezauważony poszedłem za nim do jednego z uczęszczanych przezeń lokali i w domu nr 3 przy ulicy Franciszkańskiej zobaczyłem przez dziurkę od klucza w redakcji „Tygodnika Powszechnego" co następuje:

Kolega Kisiel szybkim ruchem wyjął swoje ulubienie i na oczach członków redakcji tego pisma zaczął je szybko obracać ogonem do góry, ogonem do góry, ogonem do góry i jeszcze i jeszcze raz, długo. Poczem wprawnie wpakował kota z powrotem do worka.

Następnego dnia „Tygodnik Powszechny" wydrukował takie sprawozdanie z tego zamkniętego widowiska:

„W „Kuźnicy" widzimy groźny tytuł: „Ciemnogród szturmuje". Wizja straszliwa — coś wielkiego i ciemnego naciera na nas i zasłania światło. Tymczasem... przywróćmy kotu pozycję normalną stwierdzając, że szturmuje nie „Ciemnogród" lecz po prostu skromny tygodnik krakowski o 20.000 egzemplarzach nakładu".

Otóż ja, który zrządzeniem losu wiem wszystko, to sprawozdanie niewierne uzupełniam. Ażeby kot kol. Kisiela mógł stanąć na łapach, należy stwierdzić, iż Ciemnogród **szturmuje**. „Skromny tygodnik krakowski" jest jedną z jego najmniej groźnych, bo tylko maskującą bronią. Szturm odbywa się gdzie indziej i lepiej, żeby kolega Kisiel nie podchodził tam ze swoim kotem, bo go mu zamęczą i nie przyda mu się już do tych tajemniczych praktyk. Ojcowie redaktorzy „Rycerza Niepokalanej", księża redaktorzy częstochowskiej „Niedzieli" i panowie profesorowie z Akademii Umiejętności szturmują bardziej zawzięcie i bardziej bezpośrednio.

Zastanawiając się nad przyczynami teorii i praktyki kolegi Kisiela, doszedłem do wniosku, iż to wszystko dlatego, że on się źle czuje, jak mu wszystko wolno. Wymyślił zakaz „odwracania", by mógł łamiąc go zostać we własnym przekonaniu opozycjonistą. Niech będzie, jeśli mu bez tego żyć trudno. A poza tym chodzi mu pewnie o stałe, uporczywe przekonywanie się o celowości drogiego mu wskazania: „niech nie wie lewica, co czyni prawica".

I jeszcze jedno. Mimo że ruchy jego rąk były szybkie, zdołałem zauważyć: kot kolegi Kisiela jest czarny.

Bień.

POLSKA ZA GRANICĄ

W ZSRR

Wrażenia z Polski. W artykule „Ziemia bez jarzma" opisuje podpułkownik K. Bukowskij swe wrażenia z pobytu w Polsce. Za czasów okupacji w Krakowie — pisze Bukowskij — pracowało 7 lub 8 różnych departamentów policji. Ich praca była wydatna: prawie każdego rana ulicami miasta szły na śmierć setki Polaków. Dziewiąty departament policji, niemieckie wydawnictwa zalewały ziemie polskie zakażoną literaturą. „Dziesiątki tysięcy wrażych gazetek, broszur, książek i czasopism rozsyłane były przez Niemców do miast i wsi polskich w zamiarze zatrucia świadomości narodu polskiego i wszczepienia mu niewolniczego poczucia obcości w stosunku do własnej ojczyzny". W związku ze zniszczeniem Warszawy notuje Bukowskij interesujący szczegół: „Przed miesiącem w Saksonii natknęliśmy się na wojskowe niemieckie miasteczko, zabudowane ponurymi, podobnymi do siebie kubek w kubek domami-koszarami. Wyjaśniono nam, że domy te zostały zbudowane z cegły wywiezionej z Warszawy, wkrótce po tym jak Niemcy dokonali metodycznego zburzenia miasta" („Sławianie", 1945, nr 7).

Przekłady. Państwowe wydawnictwo radzieckiej literatury („Goslitizdat") przygotowuje wydanie wielu klasycznych i współczesnych utworów literatury polskiej. W najbliższym czasie ukaże się Prusa „Placówka". W druku jest tom wybranych wierszy Tuwima, głównie z „Słowa we krwi", „Biblii cygańskiej" i „Siódmej jesieni". Z poetów XIX wieku, mało znanych czytelnikowi rosyjskiemu, wielkie zainteresowanie wzbudza twórczość Słowackiego, którego tom wybranych utworów oddano już do druku. Planowane jest wydanie utworów lirycznych Słowackiego, poematów i „Lilli Wenedy". Już wyszła „Grażyna" a w przygotowaniu jest większy wybór poezji Mickiewicza pod redakcją M. Rylskiego. Obok liryki znajdzie się tu znów „Grażyna", fragmenty z „Pana Tadeusza" oraz „Konrad Wallenrod" w przekładzie N. Asiejewa. Na rok 1946 przewiduje się antologię polskiej poezji klasycznej i współczesnej, w której przygotowaniu bierze udział Związek Literatów Polskich.

O reformie szkolnej. „Uczitielskaja Gazieta" (nr 40) przynosi obszerny artykuł informacyjny o zmianach podjętych w naszym szkolnictwie w związku z reformą. Wzmożone zainteresowanie sprawami oświatowymi Polski, Czechosłowacji, Bułgarii i Jugosławii w pedagogicznej prasie radzieckiej wiąże się z udziałem delegacji działaczy oświatowych wspomnianych krajów w pracach Akademii nauk pedagogicznych Rosyjskiej Socjalistycznej Federacyjnej Republiki Rad. Na ostatniej sesji Akademii reprezentowali polskie koła pedagogiczne dr. Z. Kormanowa i dr. M. Falski.

„Na warszawskim froncie" — powieść Ewy Szemplińskiej ukazała się w przekładzie rosyjskim M. Motylewskiej i E. Ryftynoj w miesięczniku „Nowyj Mir" (1945, nr 7). W przekładzie dokonano wydatnych skrótów oryginału.

js

W ANGLII I AMERYCE

Nowe poezje na emigracji. Nakładem Aliny Wierzbiańskiej ukazał się w Londynie tomik poezji Stanisława Balińskiego „Trzy poematy" o Warszawie z ilustracjami Marka Żuławskiego. Zbiorek składa się z utworów: „Poranek warszawski", „Panorama Warszawy" i „Wieczór w Teatrze Wielkim". Władysław Broniewski wydał w Jerozolimie nowy tom wierszy „Drzewo rozpaczające".

Nowa książka Melchiora Wańkowicza. W języku polskim i angielskim równocześnie, ukazała się w Nowym Yorku książka Melchiora Wańkowicza „Dzieje rodziny Korzeniowskich".

Antologia literatury polskiej po angielsku. „The Wayside Willow" — to tytuł małej antologii współczesnej literatury polskiej, która ukazała się obecnie w Stanach Zjednoczonych staraniem Klubu Polskiego Uniwersytetu Columbia. Antologię zredagowała Marion Moore Coleman i Loretta Bielawska.

Polski Klub Artystyczny w Chicago ogłosił konkurs na najlepszą nowelę z życia Polaków w Stanach Zjednoczonych. Nowela napisana ma być w języku angielskim. Jest to już piąty konkurs tego rodzaju. Jury mieści się w siedzibie uniwersytetu w Evanston. Pierwsza nagroda wynosi 50 dolarów.

August Zamoyski, znany polski rzeźbiarz, przebywający obecnie stale w Rio de Janeiro, gdzie prowadzi szkołę rzeźby na zlecenie rządu brazylijskiego, wystawił niedawno pomnik Chopina w stolicy Brazylii. Obecnie pracuje nad nową kompozycją.

Anglik o pierwszym rozbiorze Polski. Niespodzianie całkiem ukazała się na rynku angielskim książka historyka D. B. Horna „British Public Opinion and the First Partition of Poland". Autor stara się zrehabilitować brytyjską opinię publiczną i wykazać, że nie zgadzała się ona z pierwszym rozbiorem Polski, jedynie rząd przypatrywał się obojętnie wyczynom starego Fryca, niepomny, że Polska miała być na śniadanie, a potem może przyjść kolej na inne państwa.

U obcych i u swoich. Władysław Besterman, publicysta polski przebywający obecnie w Ameryce, przełożył na język polski książkę b. min. spraw zagranicznych USA, Edwarda Stettiniusa „Lend-Lease podstawą zwycięstwa" w nakładzie „Roy Publishers" w New Yorku. Mieczysław Szerer, przedstawiciel Polski do Międzynarodowego Trybunału w Norymberdze, wydał nakładem Kolina w Londynie książkę o „Parlamentaryzmie w Anglii". Generał Lucjan Żeligowski wydał dwie prace u Mildnera w Londynie: „Zapomniane prawdy", rzecz o zdobyciu Wilna w 1920 roku według wspomnień oraz „O ideę słowiańską", gdzie autor wypowiada się jako zwolennik unii słowiańskiej.

Wystawa malarza polskiego w Niemczech. W Bambergu, w Alte Hofhaltung, otwarta została w połowie października br. wystawa szkiców, akwarel i rysunków malarza polskiego Mariana Jeszke, który po wkroczeniu armii sojuszniczych wyzwolony został z jednego z obozów karnych w Niemczech.

Gustaw Morcinek, cudem ocalony z Dachau, który obecnie przebywa stale w Paryżu, drukuje na łamach paryskiej „Gazety Polskiej" dłuższe opowiadanie z życia obozowego „Człowiek z głową Ramzesa".

Bernard Newman, pisarz angielski, który niedawno bawił w Warszawie i Krakowie z wycieczką literatów angielskich w Polsce, napisał specjalnie dla tygodnika londyńskiego „Jutro Polski" (nr 39) swoje wrażenia z tej krótkiej podróży. Newman pisze m. in.: „Obraz Warszawy jest zupełnie fantastyczny. Gdyby zebrać w jedno miejsce gruzy wszystkich domów zbombardowanych w całej Anglii podczas tej wojny, dałyby dopiero przybliżony obraz stolicy Polski. Zamek Królewski jest zrównany z ziemią. Ghetto — to mila kwadratowa gruzów. Czarujące Stare Miasto przedstawia patetyczny obraz zniszczenia. Można przejść w Warszawie milę, nie widząc ani jednego zamieszkałego domu, nawet piwnicy. A jednak nigdzie nie zauważyłem żadnych oznak rozpaczy. Każdy mężczyzna, każda kobieta spotkani na ulicy mogą opowiedzieć historię swych przeżyć, posiadającą tyle dramatycznego napięcia, że blednie przy nim najbardziej sensacyjna powieść". Przechodząc do spraw politycznych Newman pisze: „Sytuacja polityczna wydała mi się lepsza aniżeli spodziewałem się jadąc do Polski. Rozmawiałem z członkami rządu oraz z prezydentem Bierutem. Robili na mnie wrażenie ludzi szczerych i zdolnych, ale oczywiście rząd ugina się pod ciężarem niewiarygodnych trudności, jakie ma do pokonania po spuściźnie wojennej. Jeśli chodzi o poziom indywidualny członków rządu, wydaje mi się wyższy aniżeli rządu przedwrześniowego. Polska jest dziś jak nieurobiona glina. Jej przyszły kształt będzie w znacznym stopniu zależał od tego, co w ciągu najbliższych miesięcy Polacy sami z tej gliny ulepią. Gadanie z zagranicy niewiele tu pomoże, praca ta musi być wykonana w Polsce. Poprzez wszystkie tragiczne okoliczności i bezprzykładne trudności wznosi się hart ducha narodu polskiego, z którego każdy Polak ma prawo być dumny". Tak pisze Anglik, który znał Polskę przed wojną, znał ją z perspektywy Londynu wojennego i oglądał obecnie. Po różnych reportażach w rodzaju nieprzytomnych bredni Larry Allena o „Czerwonych nocach w Warszawie", życzliwa ta ocena naszego położenia po wojnie, przyjęta musi być z prawdziwą sympatią i uznaniem dla uczciwego pisarza.

Feliks Topolski wystawił w londyńskiej „Whitechapel Gallery" obraz „Pokonana Germania", który w kołach malarskich Londynu uważany jest za jedno z najlepszych płócien tego artysty.

W „Observerze" ukazała się recenzja Maurice Collisa z wystawy obrazów Henryka Gotliba w Roland, Delbanco Gallery w Londynie. Krytyk zachwycony jest artyzmem polskiego malarza, chwaląc jego obrazy i stawiając go za przykład „wielu — jak pisze — znanym już malarzom angielskim, którzy tracą czas i talent w poszukiwaniu tanich efektów". Collis wymienia przede wszystkim obrazy „Dziewczynka z kotem", „Ranek w domu", „Dziecko w czerwieni". Dwa inne pejzaże są zdaniem krytyka tak doskonałe, że od malarza, który zna swoje rzemiosło, niczego więcej wymagać nie można. Natomiast eksperymentalna kompozycja pt. „Venus z Surrey" wypadła, zdaniem Collisa, niezbyt szczęśliwie. Biorąc pod uwagę wysoki poziom „Observera" i jego poczytność, należy tym więcej podkreślić znaczenie sukcesu artystycznego Henryka Gotliba, jednego z dwóch cudzoziemców, należących do grupy malarzy tzw. „London Group".

Mickiewicz po angielsku. Nakładem Polskiego Instytutu Naukowego ukazał się przekład dzieł Adama Mickiewicza w języku angielskim. Tom obejmuje ballady, „Sonety krymskie", „Grażynę", „Konrada Wallenroda" i drobniejsze utwory poety. Przekłady opatrzone są wstępem, w którym omówiona jest obszernie twórczość Mickiewicza.

Amerykanin o Warszawie. Znany literat amerykański Irving Brant, zamieścił w „Chicago Sun" interesujące refleksje z pobytu w stolicy Polski. „Wypalone ruiny Warszawy sprawiają wrażenie archeologiczne. Ale duch wiary w przyszłość i determinacja z jaką ludność jej przystępuje do odbudowy, powinny zmusić cały świat do skłonienia głowy w poszanowaniu i wyrażeniu dumy z powodu takiego stanowiska. Dziesiąta część ludności nie posiada łóżek. Urzędnicy na stanowiskach nie wiele niższych od ministerialnych śpią na słomie. Ghetto jest zrównane z ziemią, a dworzec kolejowy, ongiś jeden z najpiękniejszych w Europie, jest zburzony".

„Na angielskim brzegu". Jako czwarty zeszyt biblioteczki polskiej w Londynie „Wczoraj i dziś" ukazał się tom „Na angielskim brzegu". Zeszyt otwiera wiersz poety angielskiego Johna Keatsa „Do Kościuszki", w przekładzie Stanisława Balińskiego. Maria Kuncewiczowa zamieściła nowelę „Wyspa na wyspie", a Stefania Zahorska fragment powieści „Noc sędziego Jeffersona". Poza tym w tomie tym znajdujemy polityczny essay Stanisława Stroińskiego „Czy pomyłka i czyja?", uwagi W. Weintrauba o współczesnej historiografii angielskiej, a Mieczysław Grydzewski pomieścił szkic o dziejach Szekspira w Polsce, reprodukując stare afisze ze sztuk Szekspira granych w Polsce, urywki różnych przekładów oraz odbitkę pierwszej strony przekładu Juliusza Cezara, pióra Stanisława Augusta i inne ciekawostki.

Polski debiut dramatyczny za granicą. Nakładem jerozolimskiej firmy wydawniczej „W Drodze", ukazała się w czterech aktach sztuka „Garden Party" pióra dwóch młodych pisarzy, przebywających na emigracji, S. A. Pleszczyńskiego i T. K. Sowickiego. Pleszczyński wydał już tomik nieprzeciętnych wierszy. W nowej sztuce spółka autorska pokazuje artystę-żołnierza, Polaka, w środowisku cudzoziemskim. Sztuka ta, po przekładzie na język angielski, wejdzie na afisz jednego z teatrów brytyjskich.

mp

Zdrowe i wesołe jest

dziecko racjonalnie odżywione

NUTROMALT

CUKIER ODŻYWCZY I DIETETYCZNY

DR·A·WANDER·S·A·KRAKÓW

Do nabycia w aptekach i drogeriach

Kwiaty na grób Lavala!

Nr 3 (217) „Rycerza Niepokalanej" za wrzesień 1945 zajmuje się dość szczegółowo i namiętnie dwoma widmami, które na pewno poważnie zakłócają sen redaktorom i zwolennikom tego pisma. Widmami tymi są: wprowadzenie ślubów cywilnych i możliwość zniesienia przymusu nauczania religii w szkołach. Nie zasługiwało by to na specjalną uwagę, gdyby nie pewien mały odnośnik.

W artykule „Wolnomyśliciele zwolennikami religijnego wychowania", po przyznaniu, że wychowanie ludzi jest dla społeczeństwa i ludzkości ważniejsze od gromadzenia bogactw i po smętnym stwierdzeniu, że istnieją przeciwnicy przymusu nauczania religii w szkołach, autor („wj") pisze o nich: „Ci krzykacze myślą, że takie hasła są nowością, że oni pierwsi są wynalazcami nowych dróg pedagogii. Tymczasem i tych dróg próbowano i jako niepraktyczne porzucono, bo są szkodliwe dla jednostek, społeczeństwa i państwa". Zdanie to uzupełnia skromny odnośnik: **„We Francji w r. 1942 wprowadzono urzędowo naukę religii w szkole"** (podkreślenie moje).

Otóż „we Francji w r. 1942" rządził Hitler przy pomocy francuskich hitlerowców i oni to wprowadzili z powrotem przymus nauczania religii we francuskich szkołach. Można by czytelnikom „Rycerza Niepokalanej" przypomnieć wiele jeszcze osiągnięć z dorobku społecznego, politycznego i moralnego świata i Francji sprzed 1942 r., które przez hitlerów, lavalów i quislingów zostały „porzucone jako niepraktyczne", jak to sielankowo opisuje autor — ale nawet „Rycerz Niepokalanej" nie powinien był przedstawiać hitlerowskich poczynań jako postępu w moralności i wychowaniu, jak to uczyniono w cytowanym artykule. Może nawet we własnym interesie „Rycerza Niepokalanej" nie leżało wykazanie w tak dobitny sposób dla jakich to „jednostek", jakiego „społeczeństwa" i jakiego „państwa" szkodliwe są drogi „porzucone jako niepraktyczne" przez lavalów i abetzów. Może tymczasem doszły już do Niepokalanowa wieści o tym co myśli Francja i świat o zbawiennych reformach „Francji 1942 r.", ich autorach i wykonawcach. Może w Niepokalanowie zrozumieją, że do ludzi, o poglądach p. „wj" nikt po naukę religii i moralności chodzić nie będzie. A może już to w Niepokalanowie rozumieją i dlatego tak namiętnie żądają... **przymusu.**

W każdym razie trzeba przy okazji jasno podkreślić: ludzie, których p. „wj" łaskawie nazwał „krzykaczami", nie uważają za pożyteczne reform, które wprowadzili hitlerowcy i nie widzą w nich postępu — przeciwnie: uważają je za szkodliwe i widzą w nich wstecznictwo.

taj

„Płomyk" i Brzechwa

Bajki są mądrością narodów. Zrozumiała to doskonale redakcja czasopisma dla dzieci „Płomyk" i niekiedy umieszcza piękne bajki polskie. Między innymi ukazała się w numerze 2 z 15 września 1945 r. bajka: „Żuraw i czapla", podpisana nazwiskiem Stanisława Jachowicza. Któżby nie znał tego starego bajarza? Komuż nie wiążą się z tym nazwiskiem bajki dzieciństwa? O Andzi i o róży co kole, czy o dziecku, co szło przez rzeczkę i rzucało bułeczkę rybkom? Naiwne bajeczki z poczciwym morałem.

Czytam sobie te wierszyki i jestem pełen podziwu dla Jachowicza. Forma godna współczesnych bajkopisarzy, a rymy: „...będę kochał ciebie wierz mi, więc czym prędzej się pobierzmy", albo: „niepotrzebnie pani papla, żegnam panią, pani czapla" zdradzają zupełnie prekursorskie osiągnięcia formalne. W dodatku, aby dzieciom podkreślić te zalety, sumienna redakcja opatrzyła wiersz takim komentarzem: „Stanisław Jachowicz — zmarły przed kilkudziesięciu laty bajkopisarz i wielki przyjaciel dzieci i młodzieży. Jego bajki znajdowały się w czytankach, z których uczyli się wasi rodzice, gdy byli jeszcze dziećmi".

Ale o zgrozo! Przybiega do mnie mój mały przyjaciel Krzysio i płacząc, jedną ręką podaje mi „Płomyk", a drugą tom bajek Jana Brzechwy „Tańcowała igła z nitką". Szósta z kolei bajka w tomie Brzechwy nosi tytuł „Żuraw i czapla" i zgadza się co do słowa z tekstem cytowanym przez „Płomyk".

Pokręciłem głową, ale czytam następny artykuł też o żurawiu i czapli, podpisany L. G. S. Na samym końcu tego opowiadania znajduję takie zdanie: „W jesieni czaple wędrują do Afryki i kto wie, może to właśnie tam spotkała się któraś z żurawiem, jak chce tego bajka Jachowicza". Stwierdzenie to wytrąciło mnie z równowagi, a małego Krzysia upewniło, że mądry pan Brzechwa popełnił plagiat.

Niestety, szanowna redakcjo „Płomyka"! Pan Brzechwa nie popełnił plagiatu.

Stanisław Jachowicz nie napisał bajki „Żuraw i czapla", ale napisał ją Jan Brzechwa i umieścił w swoim zbiorku „Tańcowała igła z nitką".

Wiadomo, że aby zostać redaktorem pisma dla dzieci, nie trzeba być nadzwyczajnie wykształconym człowiekiem, ale trzeba już wymagać, żeby redaktor pisma dla dzieci znał trochę literatury dziecięcej. W bajkach dzieją się rzeczy cudowne. W redakcjach pism dla dzieci, jak z tego wynika, też, ale nie można robić cudów z nazwiskami autorów. Takie hokus-pokus jest raczej niedozwolone. Autor artykułu o „Żurawiu i czapli", ob. L. G. S., uwierzył redakcji. Tysiące dzieci, dla których „Płomyk" jest czytanką szkolną, też uwierzyły. Zapewne sporo nauczycieli również. Jachowicz odmłodniał.

Ciekawy jestem, co powie na to Brzechwa? Sądzę, że prześle tomiki swych bajek do redakcji „Płomyka", aby je tam wreszcie przeczytano. Uchroni to redakcję przed dalszym podpisywaniem jego bajek nazwiskami Krasickiego i Fredry.

A na razie honorarium należy się Brzechwie.

tk

Jesteś smutny

W „Szpilkach" jakiś nadzwyczaj dowcipny, zupełnie niegłupi jak but satyryk odkrył taki kawał: Wiersz Przybosia pt. „Po orce" „odwrócił", tzn. przepisał od słowa końcowego do początkowego. Okropnie to śmieszne, tylko nie wiadomo dlaczego. Spróbujmy wyjaśnić na innym przykładzie — czy się też da odwrócić jaki inny wiersz jeszcze?

Słówko o księżycu w stawie (Tuwima)

Księżyc do wody się rzucił,
Fosforycznym świeci topielcem.
Wieczór czarodziej światła przewrócił,
Zalśnił olejkiem w każdej kropelce.

I na odwrót:

W stawie o księżycu słówko

W kropelce każdej olejkiem zalśnił.
Przewrócił światła czarodziej wieczór
Topielcem świeci fosforycznym,
Rzucił się do wody księżyc.

Okropnie to śmieszne, ale wciąż nie wiadomo, dlaczego się tak śmiejemy. Odwróćmy więc jeszcze slogan „Szpilek":

„Jesteś smutny — czytaj „Szpilki"

czyli:

„Szpilki" czytaj — smutny jesteś".

bs

WŁADYSŁAW RACZKOWSKI

PRZEJDZIEM WISŁĘ, PRZEJDZIEM WARTĘ

Nuty na 4 głosy i fortepian
do 10 narodowych i patriotycznych pieśni
Cena 90 zł
Do nabycia we wszystkich księgarniach
Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik"

Redaktor: Karol Kuryluk. — Adres redakcji Basztowa 15, m. 8, tel. 593-28 i 507-12. — Redaktor przyjmuje codziennie od godziny 10 do 12. — Adres administracji: Wielopole 1, tel. 545-60-62.
M - 06229 Prenumerata miesięczna 21 zł, kwartalna 63 zł. — Drukarnia Narodowa w Krakowie. — Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik"